AS



Nr. 45
8 LISTOPADA 1936 R.
CENA 40 GROSZY

Piękn… nowego Świat…

Lo… Young. Fot. Polonsky, Hollyw…

W PRACOWNIACH ZNANYCH ARTYSTEK:

ZOFJA STRYJEŃSKA



Jedno z ostatnich zdjęć p. Zofji Stryjeńskiej, z dedykacją dla Czytelników „Asa".
„Foto-Arte", Warszawa.



Na lewo. Fragment obrazu „Wędrowcy".
Fot. E. Koch, Warszawa.

Zofja Stryjeńska — to artystka na wielką miarę. Niepospolity talent czyni ją najpopularniejszą malarką w Polsce. Posiada ona nadzwyczajną fantazję, przechodzącą w bezgraniczne uwielbienie barwy i jest zwolenniczką twardej, określonej formy. Przytem jest to artystka, która, bodajże jedyna w dziejach malarstwa polskiego, potrafiła wydobyć z naszego folkloru ludowego nieprzebraną tęczę barw i akordy istotnego piękna. Niema chyba zakątka Polski, od Huculszczyzny do Kujaw, od Podkarpacia do Kaszubów, skądby Zofja Stryjeńska nie czerpała natchnienia, przeniesionego następnie w obrazy, to kipiące ognistym mazurem, to znów przemawiające smętkiem poleskiej zadumy...

Nie odrazu udało mi się wkroczyć w progi sanktuarjum Zofji Stryjeńskiej, to jest do jej pracowni malarskiej. Artystka lubi pracować w ciszy i spokoju. Nieukończony jeszcze obraz, to tabu dla zwykłego śmiertelnika...

Wreszcie, któregoś dnia składam wizytę znakomitej artystce. Pracownia, mieszcząca się na terenach sejmowych przy ulicy Wiejskiej w Warszawie, niewielka i skromna. Tak zwany „artystyczny nieład", w którym czuje się raczej artystyczną, niż kobiecą rękę. Na sztalugach ukończone właśnie płótna „Kowal wiejski" oraz „Przed chatą". Obydwa — to fragmenty życia wiejskiego, ujęte z właściwą artystce werwą i rozmiłowaniem w kolorystyce.

Te dwa dzieła dają odrazu temat do interesującej rozmowy.

— W czem tkwi tajemnica — zapytuję — tego wielkiego zamiłowania Pani w naszych ludowych tematach? Czy mogłaby mi Pani to bliżej wyjaśnić?

Artystka godzi się chętnie na zwierzenia. Zaznacza jedynie, iż bardzo rzadko udziela wywiadów dziennikarskich, możliwe zatem, iż rozmowa nie pójdzie zbyt gładko.

— Czy każda rozmowa dziennikarza musi zaraz być oficjalnym wywiadem? — zapytuję. — Będziemy poprostu mówili o różnych ciekawych rzeczach i na tem koniec! Poco zaraz myśleć o uroczystym interwiewie...

— Zatem doskonale — zaczyna artystka — przedewszystkiem powiem panu rzecz zasadniczą. Nie dlatego sięgam na wieś po tematy, aby opiewać życie chłopa. Poprostu dlatego, ponieważ tam jedynie znaleźć jeszcze można barwę. Nasze życie jest okropnie szare. Nawet taksówki w mieście są szare.



Fragment obrazu „Piast".
Fot. E. Koch, Warszawa

W kole: Kantuś i Jacek Stryjeńscy, dwaj synowie znanej artystki, są zapalonymi lotnikami.



Ubrania wasze, was, nieszczęsnych mężczyzn, to parodja barwy. Szarość, szarość i szarość! W tym szarym świecie miasta i cywilizacji, malarz nie może znaleźć barwy, której tak potrzebuje i tak szuka, jak muzyk melodji. Trzeba iść po barwę na wieś, bo kraje, w których tej barwy jest jeszcze dużo, więc egzotyka, ta centrala światowa kolorów, są, niestety, zbyt daleko i dla nas niedostępne...

— Stąd wniosek — odpowiadam — że gdyby nasza współczesność była bardziej barwna, kolorowa, sztuka stałaby o wiele wyżej?

— Ależ naturalnie! — odpowiada Zofja Stryjeńska z przekonaniem. — Jednostajność jest wrogiem malarstwa w szczególności, a sztuki wogóle. Wielka sztuka mogła powstać wtedy, gdy artysta otoczony był światem pięknym. Więc naprzykład prawdziwie wielka rzeźba zrodzić mogła się w Grecji, gdzie artysta stale widział wiele pięknych nagich ciał. A potem średniowiecze, renesans. Jakżeż były barwne! Ot, dla przykładu — „Piekarka" Rafaela. Przecie to zwyczajna, prosta kobieta. Jak wspaniale ubrana! Niech pan to porówna z portretem najwytworniejszej damy współczesnych czasów! Jakież panuje tam ubóstwo kolorów! Więc i sztuka dzisiejsza porównać się nie da do epoki rafaelowskiej.

— Gdy zanikła barwność średniowiecza — ciągnie dalej artystka — wielcy malarze sięgnęli po raz pierwszy do egzotyki. Byli to Cézanne i Gaugain. Dusili się w szarości otaczającej ich, a wyzwolenie odnaleźli w egzotycznych roślinach, strojach i ludach. Im należy zawdzięczać nowy pęd i nowe wartości w sztuce. Dziś, jak mówiłam — świat jest bardziej szary, niż kiedykolwiek. Może powrót Olimpjad i rosnąca ich popularność, wskrzesi znowu piękne tradycje rzeźby greckiej. Mam w tym kierunku wielkie nadzieje.

Rozmawiamy dłuższą chwilę o malarstwie współczesnem, o tematach poruszonych przez artystkę w jej pięknych obrazach, któremi ozdobione są główne sale naszych transatlantyków, „Batorego" i „Piłsudskiego"; wreszcie zadaję niespodziewane pytanie:

— Które ze swych dzieł uważa Pani za najdoskonalsze?

Zofja Stryjeńska uśmiecha się:

— Żaden z moich obrazów. Napewno pan nie zgadnie!

Jestem zaintrygowany i dopytuję się natarczywie. Wreszcie słyszę nieoczekiwaną odpowiedź:

— Moi dwaj synowie — Kantuś i Jacek! To są dwa moje dzieła najdoskonalsze, na jakie stać mnie było, jako kobietę. Jestem z nich o tyle bardziej jeszcze dumna, bo żadna malarka nie może się poszczycić takimi dwoma rozkosznymi bliźniakami! Jeden z nich jest czarny, o typie włoskim, czupurny, drugi jego przeciwieństwem — blondyn, typowy słowianin, łagodny i cichy.

Pani Stryjeńska pokazuje mi fotografję swych synów.

— No, niech pan powie — zapytuje mnie — czy w życiu można stworzyć coś piękniejszego, jak dwoje zdrowych, kochanych dzieci?...

Romit.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 45 **Niedziela 8 listopada 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 45-GO:

Pomimo dotychczasowych olbrzymich sukcesów techniki, coraz to nowe wyczyny elektryzują wyznawców postępu. Oto należy zanotować wspaniały przelot znanego lotnika Jamesa Mollisona, który ostatnio przebył na swym samolocie „Bellanca" północny Atlantyk w rekordowym czasie 13 godzin i 10 minut. Start nastąpił w Nowym Jorku i po lądowaniu w Harbour Grace na Nowej Fundlandji, Mollison poleciał prosto na lotnisko londyńskie w Croydon. Samolot Mollisona posiada motor o sile 700 KM, i rozwija szybkość 370 km na godzinę. Na zdjęciu widzimy szczęśliwego lotnika po przybyciu w Croydon.

Fot. New York Times, London.

Imć Pan Generał Chadźkiewicz

Polski Casanova

WANDA KIESZKOWSKA ILUSTR. A. ŻMUDA



Romantyzm, którego pierwszych przebłysków można się już dopatrzeć w drugiej połowie XVIII w., obok nowych pierwiastków, jakiemi otaczał literaturę, wycisnął również pewne swoiste piętno i na ludziach swej epoki, kształtując odpowiednio ich usposobienie, charakter i życie. Poruszył on drzemiący w duszach ludzkich melancholijny, poetycki smutek, pogardę szarej rzeczywistości, rozbudził wybujały indywidualizm, nienasycone pragnienie wybicia się, wyróżnienia, wystrzelenia ponad zwykły tłum, którym gardził, rozpalił niepohamowaną żądzę nadzwyczajnych, tajemniczych przygód. Tem właśnie tłumaczy się ów nagły pęd do podróży, włóczęgostwa i awantur, który zawitał także i do naszego kraju. Ludzie porzucali ojczyznę, kąt rodzinny, gdzie się wychowali i pracowali, obowiązki, żonę, dzieci, mienie i rozpoczynali wędrówkę po obcych krajach, w niedostatku często o chłodzie i głodzie, poszukując owych wymaginowanych, nieznanych, a przez to stokroć bardziej pociągających przygód.

Przy tak sprzyjających po temu okolicznościach wytworzył się pewien specjalny kosmopolityczny typ awanturników, wyzyskiwaczy i oszustów. Zpośród całej czeredy najprzeróżniejszych typów tego rodzaju, palma pierwszeństwa należy się niewątpliwie imć panu generałowi Chadźkiewiczowi.

Ignacy Chadźkiewicz, herbu Kościesza, ów polski Casanova, „król cyników, łotrów w całej powadze i potędze majestatu", jakiemi to nazwami obdarzają go współcześni mu pamiętnikarze, pochodził ze starej szlacheckiej rodziny, zdawna osiadłej na Litwie, a skoligaconej z wieloma dworami pańskimi.

Czem ten człowiek nie był, czego nie robił! Życie jego mogłoby dostarczyć tematu do napisania rycersko-awanturniczego romansu, on sam zaś był wymarzonym typem na bohatera zbrodniczych poematów byronowskich. Dusza jego stanowiła przedziwną mieszaninę dobra i zła. Charakter składał się z najdziwaczniejszych zestawień, z najzupełniejszych, trudnych do pogodzenia kontrastów i krańcowości. Burzliwe życie było wiernym odpowiednikiem jego charakteru.

Przyjaciel generała Jasińskiego, a zarazem najzaciętszy wróg konstytucji 3 maja, stronnik Targowicy, przed ostatecznym upadkiem ojczyzny jeszcze naprzemian oficer polskiej gwardji koronnej i kapitan grenadjerów rosyjskich, w legjonach, dokąd przywiał go jego niespokojny duch, — intrygant, wichrzyciel i rabownik, kolejno adjutant generałów Championnet'a, Masseny i Macdonalda, słynący pod imieniem generała Lodoiski, odznaczający się lwią odwagą w boju, fałszerz banknotów, agent tajnej policji Fouché'go, w międzyczasie bałamut i uwodziciel kobiet, szuler i oszust, o którego najdziwniejszych, przeróżnych awanturach tomy pisaćby można — oto pan Chadźkiewicz we własnej osobie. Jeśli przysłowie: fortuna kołem się toczy, znajduje zastosowanie do życia ludzkiego, to najlepiej chyba maluje ono koleje losu Chadźkiewicza. Sto razy był on, jak się to mówi, pod wozem i zawsze umiał się zpod niego na wierzch wydobyć.

A przecież było w tym człowieku niewątpliwie pewne piętno niezwykłości i wyższości, wyróżniające go zpośród wszystkich współczesnych mu awanturników i jakiś niezwykły urok, przyciągający ludzi ku sobie, jeśli mimo wszystkich sprawek, z któremi się nie krył, a przeciwnie nawet zdawał się chlubić, był przyjmowany bardzo skwapliwie w najlepszych towarzystwach i wszędzie, gdziekolwiek się pokazał, mile był widziany.

Przyczyniała się do tego niewątpliwie jego piękna, rasowa postawa i pańskie ułożenie, lecz musiały istnieć i jakieś inne, głębsze przyczyny. Być może, że społeczeństwo, rozczytujące się z takim zapałem w fantastycznych, romantycznych poematach, pociągała ku niemu właśnie owa zagmatwana mieszanina najbrudniejszych cech ze szlachetnemi, czystemi odruchami. Dziwną zaiste zagadkę stanowił ten człowiek, łączący w sobie brutalną, bezwzględną przemoc ze wspaniałomyślnością; drażliwą miłość własną z zupełną zatratą poczucia honoru; najniższy cynizm z pobożnością; cechy bezinteresowności i pańską hojność z wyrafinowanem oszustwem; nieustraszoną odwagę w ogniu z biernem przyjmowaniem zniewag, spotykających go niejednokrotnie po przyłapaniu na nieuczciwej grze w karty; arystokratyczne poglądy i wielkopańskie maniery z zadawaniem się ze zgrają łotrów, pieczeniarzy i swawolników, stanowiących jego przyboczną świtę, zwaną „plotkami" czerpiącemi niedbałość z mściwością; pełnemi garściami złoto z jego szkatuły, a obowiązanymi wzamian za to do bezwzględnego posłuszeństwa i dyskrecji; a nadewszystko żywą wiarę z zakamieniałem życiem zła, którem świadomie kroczył.

A przytem posiadał generał Chadźkiewicz jedną wielką zaletę towarzyską, zjednywującą mu niebywałą popularność i sympatję w szerokich kołach — dowcip! Jeśli chcemy wierzyć licznym pamiętnikarzom, zajmującym się jego osobą, należał on do najdowcipniejszych ludzi swego czasu. Każde najprostsze słowo, nabierało w jego ustach specjalnego zabarwienia. Umiał w lot pochwycić i po mistrzowsku odbić iskrzącą rakietę dowcipu.

Przytoczę tu kilka powiedzeń.

Jeden z dygnitarzy, spotkawszy się pewnego razu z Chadźkiewiczem w towarzystwie, zawołał o nim ze szczerym podziwem, zwracając się do zebranych gości:

„Co za głowa, gdyby statek!" (powaga, stateczność).

Chadźkiewicz nie pozostał dłużny w odpowiedzi. Kiwając z politowaniem głową, odpalił bez wahania w stronę owego dygnitarza:

„Co za statek, gdyby głowa!"

Znana jest również jego zuchwała odpowiedź, jaką dał generałowi Witte, gdy tenże, odwiedziwszy swego przyrodniego brata Aleksandra Potockiego w gospodzie podczas jarmarku w Berdyczowie, rzekł ironicznie, ujrzawszy go siedzącego przy kartach, między Chadźkiewiczem a drugim szulerem



„Co za głowa, gdyby statek!"



... został porwany i wywieziony do Wiatki.

„Cóż widzę, biedny bracie, jesteś jak Chrystus na krzyżu między łotrami".

„Cóż to nadzwyczajnego widzieć Chrystusa na krzyżu między dwoma łotrami" — odparł zimno Chadźkiewicz, wzruszając ramionami, poczem dodał, spoglądając wymownie na liczne krzyże i ordery, zdobiące pierś generała Witte: „znacznie trudniejsza i ciekawsza to rzecz ujrzeć tyle krzyżów na jednym łotrze".

Aluzja była tak przejrzysta, że niepodobna jej było nie pojąć. Została więc nietylko zrozumiana, ale i zapamiętana i w odpowiedniej chwili pomszczona.

Cynizm jego sięgał niebywałych wprost granic. Upadłą kobietę nazywał „maliną ze swego ogrodu", o złym księdzu mówił, że to „jego kapelan". Przedstawiając swego syna, dodawał bezwstydnie:

„Bardzo porządny młodzieniec, tylko ma dwie wady: jest moim synem i nazywa się Chadźkiewicz".

Kiedy zaś inni, chcąc mu sprawić przyjemność, chwalili przed nim zalety jego syna, przerywał im szyderczo:

„Dosyć, dosyć, im bardziej obsypujecie go pochwałami, tem większe podejrzenie wzbudzacie we mnie, że nie jest on moim synem, bo i gdzieżby taki łotr, jak ja, takiego poczciwca spłodził".

Nie wstydził się przyznawać głośno, że utrzymuje się z pieniędzy, wygranych w karty. Owszem chwalił się tem przy lada okazji. Lubił naprzykład powtarzać z wielką chełpliwością, że on jeden jest prawdziwym panem z panów, wszyscy zaś magnaci są panami z chłopów, ponieważ zyski swe ciągną z włościan, sami zaś jemu składają haracz.

Kiedy go kto zadrasnął, kiedy się uczuł czem dotknięty, umiał się mścić, najczęściej po swojemu, smagając ironją, ośmieszając boleśnie, doszczętnie, nie znając już żadnej miary. Często jednak najdotkliwsze obelgi puszczał płazem. Parokrotnie przy kartach, kiedy przyłapano go na szulerce, został czynnie znieważony przy świadkach i starał się zawsze pokryć tę zniewagę, zatuszować ją błyszczącym dowcipem. Kiedy podczas kontraktów kijowskich sąsiad Chadźkiewicza z prawej strony zauważył jego nieuczciwą grę i oburzony zerwał się z miejsca, wymierzając mu potężny policzek, Chadźkiewicz, niezmieszany bynajmniej, uderzył z zimną krwią sąsiada, wołając:

„Sequens!"

Wzbudziło to powszechną wesołość i całe zajście, zamiast pojedynkiem, zakończyło się huczną pijatyką i uraza została zatopiona w szampanie.

A przecie ten wykolejeniec życiowy bez zasad, nie znający żadnych względów, ten gracz zawodowy, ten szuler bez skrupułów, nie chciał nigdy grywać z Franciszkiem Sapiehą, ani Kossakowskim, mówiąc, że sumienie nie pozwala mu ogrywać kolegów szkolnych. I nigdy też podobno nie ogrywał nikogo do ostatniego grosza, zostawiając zawsze drobną sumę na najpierwsze potrzeby. Jeżeli widział czyjąś rozpacz, zwracał nawet część wygranej. Nie mógł nigdy przejść koło żebraka, nie udzieliwszy mu jałmużny.

Opowiem tu jeszcze na zakończenie znany figiel, jaki wyrządził Chadźkiewicz głośnej z dziwactw i tonów, jakie lubiła przybierać, pani Bobiatyńskiej. Pewnego razu gruchnęła po Wilnie wieść, że pani ta, odnowiwszy swe apartamenta, zaprowadziła zwyczaj, by żaden z odwiedzających ją gości nie był wpuszczony do salonu, zanim obuwie jego nie zostanie starannie oczyszczone przez przeznaczonego specjalnie do tych usług lokaja. Słysząc o tem, jedni śmiali się i wzruszali lekceważąco ramionami, inni zżymali się wewnętrznie na te dziwactwa, nikomu wszakże nie przyszło do głowy przeciwstawić się im czynnie. Skoro nim wieść ta doszła do uszów Chadźkiewcza, wezwałi on niezwłocznie całą zgraję przyboczną i udał się w ich otoczeniu z wizytą do pani Bobiatyńskiej, poleciwszy wpierw wszystkim zabrudzić możliwie najbardziej obuwie w głębokich rynsztokach uliczek wileńskich. Sam oczywiście „świecił" przykładem. A dzień był dżdżysty, błotny. Kiedy stanęli wreszcie u celu, nadbiegła cała czereda przerażonych sługusów, która jęła się biedzić nad oczyszczaniem skorupy błota, pokrywającej obuwie przybyłych. Pani Bobiatyńska zaś, zawiadomiona o przybyciu słynnego generała Chadźkiewicza, przywdziała naprędce stosowną toaletę i pełna dumy i zadowolenia z odwiedzin tak pożądanego gościa, udała się do salonu, by przybrawszy malowniczą pozę, oczekiwać z niecierpliwością. Lecz oto ledwo pod wprawną ręką wyćwiczonej służby straszliwie zanieczyszczone obuwie poczęło nabierać połysku tafli lustrzanych, co kosztowało przeszło kwadrans mozolnej pracy, a wygalowany lokaj kierował się w stronę salonu, by zaanonsować ich przybycie pani domu, Chadźkiewicz spojrzał nagle na zegarek i wykrzyknął z udanem zdziwieniem i żalem:

„Patrzcie, toż to już piąta! O tej godzinie mieliśmy być u NN. Ha, niema innej rady, musimy tam iść koniecznie. Podziękujże tedy pani — zwrócił się do zdumionego lokaja — za jej wielką grzeczność i powiedz, że przy pierwszej sposobności przyjdziemy podziękować osobiście".

Na dany przez Chadźkiewicza znak cała świta obróciła się na pięcie i opuściła za swym przewodnikiem te tak niezwykle gościnne podwoje, pozostawiając za sobą panią domu, pełną urazy i gniewu.

Koniec Chadźkiewicza był żałosny. Przebrała się wreszcie miarka bezkarności i swawoli. Za jakiś żart, nie gorszy zresztą od wielu innych, które uchodziły mu na sucho, został porwany i wywieziony do Wiatki, gdzie też wkrótce życia dokonał.

Tak zmarł człowiek, obdarzony od natury niepospolitemi darami, który mógł stać się chlubą swego narodu, a stał się jego zakałą.



... uderzył z zimną krwią sąsiada z lewej, wołając: „sequens!".

Omnibus WYNALAZCÓW



Figurka fajansowa znaleziona w pałacu w Knossos przedstawiająca kobietę o silnie zaakcentowanej talji.

Przeglądając dzieje współczesnych drobiazgów codziennego użytku, napotykamy na niejedną niespodziankę. Oto gorset uchodzi zwykle za stosunkowo świeży artykuł mody, a jednak tak wielką nowością znów nie jest, bo na starych figurkach greckich lub na posążkach z 1700 r. przed Chr., a wykopanych w Knossos na Krecie widać wyraźnie, że kobiety już wówczas używały coś w rodzaju gorsetu. Wogóle „wcięcie w talji" to jedno zdaje się z najstarszych zmartwień piękniejszej połowy rodu ludzkiego. Najstarsze, w jaskiniach zachowane, rysunki ludzi, pokazują ówczesne damy w krótkich sukniach wciętych w pasie, zawieszonych na ramiączkach.

Kokieterja jest starą jak świat! Na najstarszych rysunkach egipskich widzimy, że „podciąganie" rzęs i malowanie brwi było powszechnie używane. Rzymianki po najeździe Germanów zaczęły sobie złocić włosy henną. W starych bardzo grobach znajdujemy szkielety kobiet o manucurowanych paznokciach. Również znajdujemy róż i kosmetyki W Europie później jednak wykwint długo był w powijakach. Że mycie paznokci należało do przesądów, przekonałem się, spostrzegłszy na portretach Cranacha (malarz ludzi wybitnych XVI w.) bardzo wyraźnie zaznaczoną „żałobę" na palcach! No pewnie, przecież stosunkowo niedawno miednica i dzbanek, były to bardzo ładnie wykończone naczynia, których pojemność była rzeczą uboczną i znikomą! Z współczesnych czasów damy jedną tylko liczbę: w Anglji wydaje się rocznie na kosmetyki Ł 50.000.000! Prawie półtora miljarda złotych!

Myli się ten, kto przypuszcza, że kokieterja jest ograniczoną do ludzi. U zwierząt jest równie rozwiniętą i to aż do najniższych. W morzach np. by już nie mówić o upierzeniu ptaków, lwiej grzywie itp. — żyje sobie taki zabawny krab, którego jedno odnóże jest nadmiernie rozwinęte. W okresie gdy mu ciąży samotność, kiwa niem na upatrzoną wybrankę-krabicę.

Drobny szczegół ubrania — guzik, mimo swej ważności, nie był znany aż do XV w. Zresztą i teraz są narody (np. Korea), które nie używają guzików, a tylko pętelki.

Kwestja zwyczajów jest najdziwniejszą ze wszystkich. Panienka druzińska może pokazywać tylko jedno oko, drugie musi mieć zasłonięte. Gdzieindziej znów kobiecie nie wolno pokazywać włosów i czepeczek muślinowy musi nosić w dzień i noc. W Japonji znów, mimo upałów, nosi się kimono, ale uprawia wspólną kąpiel — bez jakichkolwiek osłon i to nikogo nie razi.

Arabski sędzia całuje skazańca przed wyrokiem. W Abisynj pocałunek to powitanie między obcymi, ale nie w usta. Tam też żona nie ma prawa witać pocałunkiem męża.

W tak bardzo postępowej Ameryce Płn., w jednym ze stanów, dotąd prawo nie pozwala mężowi całować w niedzielę żony.

Kilka lat temu czytaliśmy o wynalezieniu elastycznego szkła. Czy naprawdę o „wynalezieniu"? Chyba nie, bo w uczcie Trymalchiona, Petroniusz opisuje, jak to przed Nerona sprowadzono człowieka, który produkował szkło o nadzwyczajnych właściwościach. I rzeczywiście, człowiek ten pokazał naczynie szklane, rzucał niem o marmurową posadzkę, młotkiem przekuwał na inny kształt!

Nero uważnie przypatrywał się produkcjom, a potem zapytał — pewno przecierając swój szmaragdowy monokl — czy oprócz niego jeszcze kto zna tajemnicę tego szkła? Otrzymawszy odpowiedź, że tylko on jeden, kazał go odprowadzić i... ściąć, dworzanom zaś wyjaśnił, że musiał tak postąpić, bo inaczej szkło takie przeszłoby w wartości złoto!

Hiszpanja jest na ustach wszystkich, ale mało kto wie, że jest to ojczyzna jedwabnych pończoch. Przynajmniej pierwszą w historji wzmiankę o nich mamy jako o darze pewnego księcia hiszpańskiego dla Henryka VIII. Wówczas nosili je tylko mężczyźni, panie zadawalniały się sukiennemi. Widocznie przy ówczesnej długości sukien niekładziono takiego nacisku na ten szczegół toalety. Córka Henryka, Elżbieta, wprowadziła je i dla kobiet, używając angielskich, robionych ręcznie.

Masowo zaczęto wyrabiać pierwsze jedwabne pończochy we Francji w Troyes w 1536 r. Wdzięczni producenci bieżącego roku hucznie obchodzili 400-lecie tego tak dużego obecnie przemysłu.

Ciekawe są początki robótek na drutach: nie dadzą się one ściśle ustalić. Jedni odnoszą te robótki do starożytności i twierdzą, że Penelopa właśnie tem się zajmowała, a nie tkactwem. Powiadają — może i słusznie — że tylko taką robótkę można wciąż w nocy pruć, a w dzień znowu zaczynać od nowa. Nie wiem, czy wierność kobiet jest tak rzadką, żeby aż Homer musiał opisywać ten „jedyny" wypadek! Drudzy przenoszą początek robótek na drutach do Włoch i do wieku XIII. Całkiem bezspornie były one znane w Anglji ze Henryka IV.

Nikt nie zaprzeczy, że najważniejszy atrybut toalety to jedwabna pończoszka. To też zrozumiałem jest, że z historją mechanicznego wyrobu pończoch łączy się miłość, dramat i niewdzięczność, sprawa ciągnąca się przez dwa kraje i walki religijne. W połowie XVI wieku w Cambridge studjował teologję młody, przystojny student Wilhelm Lee. Gdyby się był ożenił z posażną panną, byłoby życie jego poszło gładko, a ludzkość długoby jeszcze chodziła w ręcznie robionych pończochach. Tymczasem nasz młodzieniec zakochał się bez pamięci w córce karczmarza, równie ładnej, jak i biednej. Powiedzieli sobie „jakoś to będzie" i pobrali się. Teść nie miał z czego pomagać, teolog nie mógł wymienić swej wiedzy na przedmioty codziennej potrzeby i na razie... była bieda w młodem ognisku. Młodziutka żona zaczęła zarabiać robieniem pończoch. Mąż chodził zgryziony. Jakto? Ukochana męczy się, a on nie może jej pomóc? Dzień i noc myślał i wymyślił w 1589 r. pierwszą maszynę do robienia pończoch. Co dziwniejsze, że ta jego pierwsza maszyna już była wcale doskonałą, w każdym razie w stosunku do 100 oczek wyrabianych ręcznie, wyrabiała ich do 600 na minutę. Obecnie coprawda maszyny robią do kilkudziesięciu tysięcy!

Wiadomość o cudownej maszynie rozeszła się szybko i doszła do uszu lorda Hunsdona. Ten namówił królowę Elżbietę do odwiedzenia warsztatu małżeństwa Lee. Ale cóż, z kobietami to zawsze tak! Królowa przyszła, pochwaliła, nie ukrywała jednak rozczarowania, że pończochy z warsztatu Lee są grube, wełniane, poczas gdy ona spodziewała się zobaczyć cienkie, jedwabne. Hundson oceniając genjalność wynalazcy i widząc jego biedę. prosił królową, by udzieliła mu patentu na jego maszynę. Lecz królowa nie udzieliła go.

Biedny Lee został zdany tylko na łaskę Hunsdona, który zaczął od tego, że swego syna, Sir Williama Carey'a, posłał na naukę do Lee.

I tak najwyższa arystokracja dała pończosznictwu pierwszego praktykanta! Hunsdon wspomagał też Lee pieniędzmi, umożliwiając ulepszenie pierwszej maszyny i zbudowanie następnej do wyrabiania pończoch o drobniejszych oczkach (20 na 1 cal) i z jedwabiu. W 1598 Lee mógł ofiarować królowej pierwszą parę mechanicznie wykonanych jedwabnych pończoch. I to nawet poparcia mu nie wyjednało tak, że za namową posła Sully udał się do Francji do Rouen z bratem i kilkoma robotnikami. I znów pech: przedstawiony został w Paryżu Henrykowi IV, ten nader życzliwie odniósł się do wynalazcy, ale wkrótce został zamordowany przez Ravnillaca. Sully uciekł, a Marja Medici odnosiła się do Lee, jako protestanta, bardzo wrogo. Wkońcu po 25 latach udręki nasz genjalny wynalazca w 1610 r. umiera w Paryżu na udar serca i niewiadomo nawet, gdzie jest pochowany.

Jerzy Dołęga-Lewandowski.



Twórca sztuki drukarskiej Gutenberg, według starego portretu.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Opisując znaczki sowieckie trzeba na samym wstępie zaznaczyć, że nie mamy tu do czynienia ze znaczkami w prawdziwym tego słowa znaczeniu, bo w międzynarodowym pojęciu znaczek pocztowy ma służyć wyłącznie do opłacania korespondencji, gdy tymczasem w Rosji jest inaczej. Ciekawe właśnie ze względu na obecną sytuację polityczną jest to, że podobne znaczki-nalepki, które nigdy nie były w obiegu, wydała także Hiszpanja i to jeszcze w większej ilości.



Od lewej: Najnowszy znaczek belgijski oraz sowiecki, wydany z okazji setnej rocznicy urodzin pisarza Dobroljubowa.

Otóż we wszystkich krajach, gdzie organizacja stoi na trochę wyższym poziomie, ministerstwo poczt po wydaniu nowej serji znaczków sprzedaje je wyłącznie po cenie nominalnej niestemplowane, a czasem tylko, kiedy już zostaną one wycofane, mogą filateliści nabyć pozostałe resztki. W Polsce można je też kupować, ale nawet za wyższą jeszcze cenę, niż „nominale".

W Rosji jest odmiennie i cała „afera" z sowieckiemi znaczkami jest jeszcze niecałkiem wyjaśniona: zamieszani są tutaj kupcy niemieccy i bez wątpliwości warszawscy, którzy, pozostając w porozumieniu z Moskwą, nabywają natychmiast po ukazaniu się ogromne partje nowych znaczków, za cenę bez porównania niższą od oznaczonej na samym znaczku, ale za to stemplowane... Ostemplowane są całe arkusze, a nietknięta guma świadczy także, że te znaczki nigdy nie zetknęły się z kopertą...

Wobec tego, że korespondencja prywatna w Sowietach nie wykazuje poważniejszych obrotów, ilość procentowa znaczków okolicznościowych, przeznaczonych wyłącznie dla filatelistów, może być napewno oznaczona cyfrą 99%. Cóż to są zresztą za znaczki! Rosja carska wydała od roku 1857 do 1918 sto dwadzieścia osiem różnych marek, a czyżby w Sowietach tak bardzo wzmogło się zapotrzebowanie, że w ciągu 18 lat musiano ich wydrukować „tylko" 420! Mógłby ktoś zarzucić coś podobnego Włochom, ale tam przynajmniej olbrzymia większość tych znaczków została zużyta na korespondencję, a niektóre tylko egzemplarze można uznać za zbyteczne.

A zresztą tak jak wszystkie znaczki włoskie są w każdym calu artystycznie wykonane i można się niemi z tego punktu widzenia zachwycać, tak Z. S. S. R. nie umiał zachować umiaru ani pod względem treści, ani formy przy stereotypowem już rodzaju druku (heliograwura). Widzimy na tych znaczkach samych pionierów rewolucji, głowy o ponurym wyrazie twarzy, znaczki anty-wojenne, które ją właśnie propagują — sportowe, chociaż o sowieckim sporcie lepiej nic mówić! Ogólny ich wygląd wypada dziwnie niespokojnie i szablonowo.

Porównajmy zamieszczone dzisiaj dwa znaczki: marsową podobiznę króla Belgów w prostych ramach i wielki znaczek, wydany na pamiątkę setnej rocznicy urodzin pisarza Dobroljubowa. Porównanie to wypadnie u każdego z nas na korzyść pierwszego!

W. H.

Miss WENUS NA ROK 1936

Wybór „Wenus Paryża" — piękności, kryjącej się pod pseudonimem „Evanowa", był sensacją dla stolicy Francji. Pamiętano, że wzięła ona udział już w konkursie 1934 roku i wtedy rozważania jury długo nie mogły doprowadzić do konkretnego rezultatu. Wreszcie przyznano pierwsze miejsce innej współzawodniczce narodowości francuskiej. W parę dni później, przy sprawdzaniu jej moralnych kwalifikacyj, okazało się, że przeszłość laureatki nie była tak nieskazitelną, jak wymagają tego regulaminy konkursu... Zdetronizowano więc tamtą boginię piękności, zwracając tytuł Evanowej. Od tej chwili zaczęła się jej właściwa karjera życiowa i artystyczna.

Dopiero jednak w bieżącym roku tytuł „Miss Wenus 1936" przyznano jej jednogłośnie, choć w Paryżu nie brak oczywiście piękności, ubiegających się o to wyróżnienie i należących po większej części do narodowości francuskiej. Od tej chwili przyznania prymatu piękności, Evanowa jest „rozchwytywana". Spostrzeżono wnet, że to nietylko piękna, ale i inteligentna i dowcipna kobieta. Posypały się na nową królowę piękności zaproszenia z wszystkich eleganckich kasyn Francji: Royat, Biarritz, Sables d'Olonne i Riwiery... Piękność wystarcza do wybicia się; tylko inteligencja pozwala iść dalej. Najwięksi managerowie kłaniają się teraz nowej Wenus, prosząc o przejrzenie ich propozycyj. Nawet impresarjo Anny Pawłowej zainteresował się tą młodą tancerką, a telegramy wzywały na wieczory galowe do Lionu, Bordeaux, nie mówiąc już o występach na najelegantszych wieczorach paryskich. Oczywiście, że zjawiają się też zaproszenia do wielkich music-hallów. W „Casino de Paris" tańczyła Evanowa, zastępując zmarłą niedawno tancerkę Colette Andris, podobnie w „Tabarin", w „Mayol", „Alcazarze"... Zaproszoną została również do filmu „Gołąb" (tytuł prowizoryczny) z Colette Darfeuil i René Lefevre, gwiazdami francuskiej kinematografji.

Pod pseudonimem „Evanowa" kryje się nie kto inny, jak młodziutka Małopolanka, Irenka Mokry-Nowicka, która nie marzyła o sukcesach i o karjerze, jaka ją dzisiaj czeka w Paryżu. Okazuje się, że niezbadane są wyroki losu, który kroczy różnymi ścieżkami. P. Nowicka wyjechała do Paryża z siostrą, pod opieką matki. Obie siostry od dawna pragnęły poświęcić się karjerze artystycznej: jedna śpiewaczej, druga tanecznej. Przyświecała im silna wola wybicia się ponad szarzyznę i... nadzieja. Lecz jak zawsze w podobnych wypadkach się zdarza, jednostki, wybierające się do Paryża, zapominają o tem, na jak wielką konkurencję natkną się w każdym zawodzie. Los pomaga jednak silnym jednostkom, a fortuna kołem się toczy.

Chcąc przeprowadzić wywiad z „Miss Wenus 1936", trzeba było przezwyciężyć niejedną trudność. Nasza piękna rodaczka jest w wiecznych rozjazdach i trudno ją zastać w domu. Pewnego dnia wreszcie udało się. Przyjmuje nas piękna Miss w swojem nowoczesnem studjo na Montparnassie. A oto historja jej młodego życia:

— Trudne warunki egzystencji w Polsce skłoniły mnie, by zaryzykować podróż do Paryża. Pierwotnie miałam marzenia praktyczne: zostać wielką krawcową! Sfery paryskie, wśród których danem mi było żyć, zwróciły uwagę na mój wygląd i gesty i nakłoniono mnie, bym poświęciła się sztuce tanecznej. Początkowo kształciła mnie kierowniczka dawnej carskiej szkoły baletowej. Jednocześnie jednak trzeba było zarabiać na życie.... i po całodziennej, męczącej pracy ćwiczyć taneczne „pas". Po półtorarocznych wysiłkach wystąpiłam po raz pierwszy w balecie opery ro-

(Dokończenie na str. 31).



„Evanowa", pod którym to pseudonimem kryje się Irena Mokry-Nowicka, po wyborze na „Miss Venus 1936".
Fot. „Star-Presse" — Paryż.

Poniżej: Jedna z doskonałych kreacyj tanecznych „Evanowy".
Fot. „Intran. Studio" — Paryż.



Olejną farbą na płótnie.

★

MARJA KĘDZIORZYNA

FRAGMENT Z POWIEŚCI „ANTEK".

Antek od kilku dni wpadał na parę godzin do Gwizdońki. Rozłożył się u niej z całym warsztatem. Poznosił jakieś sklejki, deseczki, gwoździe i strugał coś z wielkim zapałem. Gwizdońka z początku dopytywała, co też to z tego będzie, ale Antek był tajemniczy:

— Poczekajcie babciu. Nie gadajcie nic. Jak się uda, to wam pokażę.

Więc przestała nagabywać, tylko wciąż podnosiła głowę z nad cudzej bielizny, którą naprawiała i poprzez okulary spoglądała w jego stronę.

Antek siedział na ziemi i dłubał i ciął coś wielkim „majchrem", aż drzazgi leciały. Naśmiecił, narobił nieporządku, że strach. Nie szło jej o to wcale, bo co tam. Zamiecie się.

Aż nareszcie skończył. Podniósł wysoko, aby Gwizdońka mogła dobrze zobaczyć i zawołał:

— No, patrzcie się, babciu! Jedno jest!

W oczach miał uradowanie, czupryna sterczała mu w nieładzie na wszystkie strony.

Gwizdońka zobaczyła kawałek sklejki, obrównany gładziutko, z dziurą z boku. Nad tą dziurą namęczył się Antek najwięcej.

— A cóż to to z tego będzie? — spytała.

— To jest paleta — wygłosił Antek z dumą.

— Co? Paleta? A nacóż ci to?

— Na tem się maluje.

Gwizdońka zdjęła okulary, wzięła paletę do ręki i przyglądała się jej uważnie.

— Co się robi? Maluje się? A pocóż to ta dziura? — dziwiła się.

— Tu się wtyka palec — objaśnił Antek.

— Palec Iiii, co też ty pleciesz...

W spojrzeniu Gwizdońki było niedowierzanie.

Antek zaraz wetkał palec, jak się należy.

— O tak. A tu naokoło nacyka się farby i będzie się malować.

— Co to chłopaczysko jeszcze nie wymyśli... — kiwała głową Gwizdońka.

— Bo wy, babciu, to nic nie wiecie.

— Eee, poco mi takie wiedzieć? Co mi trza, to wiem.

— No, to i tego się dowiecie. Niech tylko wszystko skończę...

I znów strugał, ale tym razem jakieś wąziutkie, podłużne deseczki. To już poszło prędzej. Wnet z wielkim hukiem pozbijał je gwoździami i jak przedtem paletę, tak teraz podetkał Gwizdońce pod nos niewielką ramkę.

— A to co? Ramka, czy co?

— Acha.

Więcej nie objaśniał. Z miną człowieka, który dokonał wielkiego dzieła, zbierał do kieszeni pozostałe gwoździe i nogą spychał drzazgi i resztki deseczek pod piec.

— Ja tu jutro przyjdę i wciąż będę przychodził — oznajmił. — Teraz dopiero będzie najważniejsze.

Wziął czapkę, pocałował Gwizdońkę w rękę i skoczył do drzwi. Ale jeszcze z progu zawrócił:

— A jakbyście, babusiu, zobaczyli mamę, to jej nic o tem nie gadajcie.

— Cobym ta miała gadać.. Przecie wiem, że jak tu gonisz, to nie dlaczego, ino że nie chcesz pokazywać się z tem w domu. Ale chyba to nic złego? — zaniepokoiła się nagle. — Bo jakby co, nie daj Boże, nieładnego po tobie się pokazało, tobym cię het nagnała.

— Ale! Co ma być złego? Tylko nie potrzebuję, żeby mi nos wtykali i śmiali się. Bo oni są głupi, a wy nie — zakończył.

Teraz czekała Antka najważniejsza rzecz: zdobycie płótna. Wiedział, że musi coś mamie buchnąć, bo skądże weźmie? Ale co?... I kiedy?... Antek nie chciał długo czekać, bo mu się okrognie spieszyło do roboty.

Ale miał szczęście. Mama właśnie robiła wielkie pranie. Jak tylko Antek wrócił do domu, zaraz dała mu miednicę pełną mokrej bielizny i kazała iść za sobą na strych. Poszedł z wielką ochotą. Co rozwieszał jakiś kawałek, uważnie mu się przypatrywał w mrokach strychu i myślał:

— A może ten się nada?

Nareszcie spodobał mu się nowy ręcznik.

— Mocny — ucieszył się — i długi. To wystarczy na dwa obrazy.

Oglądnął się za matką:

— Mamo — powiedział bardzo uprzejmie — niech mama już idzie na dół. Ja to skończę wieszać.

Matka spojrzała z zadowoleniem na Antka i poszła.

Za chwilę i Antek znalazł się w kuchni.

— A nie boi się mama zostawiać tak bielizny na strychu? Przecie tam chodzą ludzie z całej kamienicy... A jakby tak kto buchnął jaki kawałek?...

— Niechby ino spróbował!!! Narobiłabym tyle piekła, żeby mnie poznali!!! Z gardłabym przemocą wydarła!!

Antek omało nie zawył z wielkiej uciechy. To ci będzie heca, jak mama się spostrzeże i będzie robić piekło i z gardła komuś tam wydzierać! A Antek wtedy powie żałośnie:

— A nie mówiłem mamie naprzód? Ja mam dobrego nosa. Wszyscy naokoło to złodzieje

Oj, to ci będzie dobry kawał!

Na drugi dzień Antek przyniósł do Gwizdońki dwa kawałki obstrzępionego płótna, upapranego w kurzu i zmiętego okropnie. Otrzepywał je troskliwie i starannie wygładzał. Miał przytem bardzo zadowoloną minę. No, teraz sam djabeł-by nie poznał, że te szmatki były jeszcze wczoraj nowym ręcznikiem mamy.

Nabił jedną z nich na drewnianą ramkę. Naciągnął mocno, jak bęben. Stuknął po nim parę razy palcami, a potem zwrócił się do Gwizdońki:

— Dajcie mi teraz, babciu, moje pieniądze!

Powiedział to z wielką dumą „moje pieniądze". Jego były. Własne. Zarobione odnoszeniem walizek z dworca do domu rozmaitym ludziam. Trzymane w tajemnicy u Gwizdońki, żeby mama mu nie zabrała. — A bo to zawsze w domu jest za mało pieniędzy. Na słoninę brakuje, albo na cukier, albo tam jeszcze na coś... Ale Antka to nic nie obchodzi. On nie składał na słoninę dla mamy.

— No dawajcie, babciu, prędzej tę moją forsę! Bo mi się spieszy!

Gwizdońka gmerała w szufladzie od komody:

— Już ci daję, Antoś, już. Ale pocóż ci to? Będziesz co kupował?

— Będę. Muszę iść zaraz załatwić jeden interes.

Powiedział to z wielką pychą. Lewą rękę wsadził do kieszeni, a prawą wyciągał po pieniądze niedbałym gestem.

Gwizdońka podała mu płaskie, tekturowe pudełeczko.

— Tylko nie przepuść na byle co! Niech cię ręka Boska broni!

— A przepuściłem to kiedy? — oburzył się.

— Nie, nie. Ja ino tak gadam.

— A widzicie.

Włożył pieniądze do kieszeni, przytrzymywał je dla pewności ręką i szedł przez ulice poważnie, z wydętą kieszenią. Od czasu do czasu spluwał zamaszyście na lewo i na prawo.

— Niech wszyscy wiedzą, żem nie byle kto!

Dawno już wypatrzył sklep, gdzie można było kupić farby w tubkach, takie, jak mieli prawdziwi malarze.

Szedł więc pewnym krokiem w tamtą stronę. Ale w drzwiach sklepowych opuściła go odwaga. Stanął przy ladzie onieśmielony i czekał, aż wszyscy klienci sobie pójdą. Jakoś nie miał śmiałości, czy się wstydził... Sam nie wiedział.

Nareszcie został w sklepie tylko on i panienka za ladą.

— Co dla pana?

Zaczerwienił się mocno. Wyszukiwał w pamięci słyszane nazwy farb. Chciał się wyrazić, jak należy. Żeby ta panna pomyślała, że on jest malarzem.

— Jabym chciał... czy jest... — utykał. — Wiedział, że to się kończy na „maryna". To tak łatwo zapamitał od prawdziwej Maryny. Ale jak to się zaczyna?

Panienka przyglądała mu się ciekawie. Antka zaczynała złość ponosić. Nie wytrzymał.

— Czy jest umta...maryna? — wystrzelił nagle. To „umta" bąknął niewyraźnie, zato „maryna" huknął na cały głos.

— Ultramaryna może?

— Przecie mówię wyraźnie — burknął.

— Który numer? Artystyczna, dekoracyjna, czy do studjów?

Antek aż się spocił. Ani w przód, ani w tył. Co tu odpowiedzieć?

— Zwyczajna — rzekł wreszcie.

Panna uśmiechnęła się i podała kilka rozmaitych tubek.

Antek wybrał jedną „do studjów". Ta wydała mu się najodpowiedniejsza. Przecież on będzie studjował.

— I co jeszcze?

Wszystkie nazwy farb, które Antek przedtem umiał na pamięć ulotniły mu się gdzieś z głowy. Antek stał zbaraniały zupełnie. Wkońcu wyjąkał zrezygnowanym głosem.

— Jeszcze proszę czerwoną, zieloną, żółtą, czarną, białą i dwa pendzle.

Był zawstydzony i upokorzony. Już sobie ta panna nie pomyśli, że on malarz. Oj, nie. Wyszedł ze sklepu, spocony jak wtedy, kiedy robił paletę. Na ulicy głęboko wciągnął powietrze i trochę mu się humor poprawił. Przecież nikt nie był przy tem, jak on te farby kupował. Tylko ta jedna w sklepie. A bodaj ją choroba!...

I całą zemstę, zamiast na niewinnej panience, wywarł na czemś okrągłem, bronzowem, co całą kupką leżało na jezdni. Kopnął to coś z wielką pasją, a ponieważ było miękkie i rozleciało się na drobne kawałeczki, Antkowi zelżał gniew.

Teraz wylazł najgorszy kłopot: co malować?

Biedził się z tem Antek całemi godzinami. Chodził zamyślony, rozglądał się wokoło... Czasem mu się coś spodobało: to Milcia, jak siedzi na ziemi i obraca w rączkach lalkę, okręconą w pstre szmatki. To znów staw w parku krakowskim i pływające po nim czółna z zakochanemi parami...

Ale jak to malować? Przecież musiał siedzieć w izbie u Gwizdońki, bo gdzieindziej nie mógł. Zobaczyliby ludzie i wyśmiali. A Antek ukrywał głęboko swe zamiary i myśli o tem, że będzie malarzem. Niech się świat dowie, czemu nie? Ale nie teraz. Potem. Wtedy, jak już potrafi malować tak fajnie, jak prawdziwi malarze... Wtedy pokaże swoje obrazy ludziom i zadziwi ich. Niech patrzą i gęby rozdziawiają. Ale teraz nie.

...Ale w takim razie co teraz malować? Koniecznie zachciewało mu się jakiejś wody, rzeki... Widział przecie, jak się to robi... Potrafiłby może... I dużo malarzy wodę maluje. Nie tylko ci, których znał. Raz nawet przyszła do mamy taka kartka od pani Bąkowej z Bochni. Był tam jakiś staw, drzewa... Po stawie pływały łabędzie, takie, jak na plantach. Na brzegu siedział kawaler z panną i trzymali się wpół. Oo, to była śliczna kartka! Żeby to takie namalować... Czyby też potrafił?...

Nagle wpadła mu do głowy myśl pierwszorzędna: odwali tę kartkę i już! Jak nie może malować z prawdziwego, to se odmaluje z obrazka.

Wiedział, że matka chowa wszystkie widokówki w albumie, razem z fotografjami. Trza to buchnąć.

Album leżał na komodzie, koło lustra i flakonika, w którym tkwiły kolorowe róże z piórek. Do tego szanownego miejsca nie wolno było nikomu się zbliżać i Antek zwykle okrążał je posłusznie zdaleka.

Lecz teraz, gdy nikogo nie było w pokoju, zbliżył się do komody i cichutko przewrócił kilka kartek albumu. Za chwilę staw, łabędzie i czuła para znalazła się u niego w kieszeni.

Był rad. Teraz mógł zacząć robotę. Miał wszystko.

Pogalopował do Gwizdońki. Tam wyciągnął z kąta swoją paletę i ramy z nabitem płótnem, a z pod siennika wyjął ostrożnie pudełko z farbami i dwa pendzle. Przez chwilę patrzył na to z zachwytem.

Potem pokolei odkręcał tuby, wąchał farby, bo ślicznie pachniały i nieśmiało, z przejęciem wyciskał miękkie wężyki na paletę.

Gwizdońka pochylała się nad nim ciekawie:

— Co to chłopaczysko nie wyprawia... widział to kto... — cudowała się.

Antek umieścił płótno na krześle i oparł je pionowo o ścianę. Sam ukląknął na ziemi.

Na twarzy miał wypieki. Ręce mu się trzęsły, niewiadomo dlaczego.

Klęczał i spoglądał bezradnie to na puste płótno, to na kartkę, leżącą przed nim. Nie wiedział od czego zacząć: czy od góry, czy od dołu, czy od ziemi, czy od nieba, czy od kawalera z panną.

I niema się kogo spytać.

— Maluj-że, Antoś, bom ciekawa, jak też to będzie. A muszę iść na różaniec.

— To idźcie, babciu, — mruknął Antek.

— Alebym rada ujrzeć.

— Ujrzycie, jak przyjdziecie. Jak kto stoi nade mną, to się źle robi.

Gwizdońka westchnęła, ale odziała się i poszła.

A choć nikt już nad Antkiem nie stał — on nie mógł zacząć. Wkońcu zezłościł się sam na siebie:

— Czy ja jestem malarz, do cholery ciężkiej, czy nie jestem?!

Umaczał pendzel w czerwonej farbie i maźnął nim po płótnie.

— Oj! Ale co z tego będzie? Czy tu jest co czerwonego na tej kartce?

Jest! Bluzka tej panny. No, to będzie z tego bluzka.

Zaraz, jak to idzie? Tu trochę wypuszczone... a tu kiszka... To rękaw. Jest. Dobra! Co jeszcze jest czerwone? Nic. Niebo jest różowe. To w sam raz można resztę farby z pędzla wytrzeć o płótno i będzie niebo.

Wytarł. Ojej! Ale coś za czerwono. Trza chyba dołożyć białej.

Nabrał na pendzel białej farby i rozmazał ją na czerwonej. Teraz znów za biało.

— Wiecie ludzie, ale jak to przykrywa jedno drugie! Przedtem było czerwone, a teraz bieluśkie. Trza to zebrać.

Zaczął trzeć pendzlem z całej siły, aż wtarł jedną farbę w drugą i powstał czysty różowy kolor.

— Byczo! A to ci mi się udało! — zamruczał zadowolony ze swego wynalazku.

Zaraz też sobie przypomniał, że widział, jak malarze mieszali po dwie farby na palecie i z tego wychodził taki kolor, jaki im był potrzebny.

I Antek tak potrafi. Czemu nie.

Zaraz... co teraz? Acha! Wyżej niebo jest zielonkawo-niebieskie i bledziutkie. To musi się zmieszać na palecie trochę zielonej, trochę niebieskiej i białej.

Już się robi.

Ale nie odrazu się zrobiło. Antek namordował się sporą chwilę, zanim trafił na coś podobnego do koloru na kartce. Rozmazał też na palecie sporo farby. Ale nareszcie jest.

Nałożył wszystko na płótno, bo szkoda, żeby się zmarnowało. Zresztą niektórzy malarze robią tak na grubo.

Potem męczył się dalej. Mazał, ciapkał po palecie, rozcierał potem na płótnie.

Gdy Gwizdońka wróciła z kościoła, mrok już był w izbie zupełny. Zastała Antka czerwonego, rozczochranego, ale z błyszczącemi oczami i triumfującą miną.

— Widzicie babciu — zawołał radośnie— jest niebo!

Gwizdońka przytykała blisko krótkowzroczne oczy:

— Ano, ano. Niebo, jak niebo. Prawda — przyznawała. — Ale co też to z tego będzie na końcu? I poco ty to robisz?

— Na końcu będzie obraz. A robię poto, żeby być malarzem! — przyznał się Antek z ważną miną.

Czupryna spadła mu na nos, a nos sterczał tak wysoko w górę, że omal nie chował się w czuprynie.

— Malarzem?... Ano, czemu nie, czemu nie. Stryjeczny mojej bratowej nieboszczki, też był malarzem... a jakże... — wspominała Gwizdońka. — Mieszkał se jak pan, nie w suterynie, a w oficynie, w jednej kamienicy na Szewskiej. Nad drzwiami miał piękną tablicę: „Malarz i lakiernik Alojzy Bomba". Bo tak się pisał. Dobrze mu się wiodło... Pokoje malował samym wielkim państwu... A czasem i jaki szyld się trafił...

Antek wykrzywił się lekceważąco:

— Ee, ale ja nie będę taki, jak ten Bomba. Ja będę taki malarz, co obrazy maluje.

— Obrazy? — Gwizdońka mrugnęła parę razy blademi oczami. — Obrazy, powiadasz?

— No, takie, co na ścianach wiszą. Nie wiecie to?

— Acha, na ścianach. Święte. Pan Jezus, Matka Boska... Wiem, wiem...

— Nie muszą być takie! Może być na nich cobądź... Woda naprzykład...

— Aa i takie widywałam, a jakże. Pewno. Za młodu chodziłam do szycia do prawdziwych państwa. To i różności widziałam. Obrazy też. No, no... To ty od takich obrazów chcesz być? A potrafisz to?

— Widzicie przecie, że potrafię! Jużem niebo wymalował i bluzkę tej pannie.

— No, no. Niebo i bluzkę. Prawda! — przyznawała Gwizdońka z podziwem.

Zresztą nie poszło tak łatwo, jak z niebem. Namęczył się Antek sporo nad wodą i nad drzewami, co były naokoło. Zapaćkał to wszystko, zamazał i ani rusz. Tyle tam było kolorów na tej wodzie, że strach. Zrobiło się to wszystko podobne do błota. Aż Antek sam się dziwił, jak to się stało, że z takich ładnych kolorów, takie paskudztwo się zrobiło.

Napocił się, nawzdychał, aż zezłościł się nareszcie i postanowił zacząć od początku. Swym wielkim majchrem zeskrobał wszystką farbę z płótna. Z palety też, bo nie było na niej ani kawałeczka czystego miejsca. Pędzle wytarł do sucha staremi gazetami.

Potem zaczął na nowo z wielką zawziętością. Trochę lepiej mu szło, ale nie było takie, jak na kartce. Pocieszał się:

— Nie każda woda musi być jednakowa. Ten namalował tak, a ja inaczej. Kto mi zabroni?

Oczywiście nie bronił mu nikt.

Po dłuższym namyśle wyrzucił też ze swego obrazu pannę z kawalerem.

Gwizdońka nie była z tego zadowolona:

— Iii, cóżeś zrobił? — zrzędziła. — Zasmarowałeś to, co najważniejsze. Przecie oni tu są na kartce, to i uciebie też muszą być.

— Nie muszą! — odrzekł Antek stanowczo. — Mogli przecie pójść do domu. Czy oni tu wrośli z korzeniami, czy co? Nikt nad wodą nie siedzi na zawsze. Przyjdzie, posiedzi, pójdzie i niema go.

Gwizdońka w milczeniu przyznała mu rację.

Więc czuła para została wyprawiona do domu, bo i tak niktby nie mógł poznać, co to ma być.

Z łabędziem też była ciężka sprawa. Ale trudno. On już musiał zostać. Czy ludzie są na brzegu, czy ich niema, łabędzie po stawie pływają zawsze. Tylko na noc chowają się do budki. A na obrazie Antkowym był przecież dzień.

Namęczył się też Antek z tym swoim obrazem porządnie. Już przeszło tydzień malował. Dłubał i ciapał po płótnie, a wciąż było źle. Nauka w kąt poszła, wszystkie sprawy zostały zaniedbane. Obraz był najważniejszy.

Antek siadywał u Gwizdońki od południa do zmroku. Malował uparcie, męczył się, stękał, sapał, klął, aż dopóki mu farb nie zabrakło. Wtedy już nie mógł malować dalej i uznał swoje dzieło za skończone.

Odetchnął z ulgą. Prawdę mówiąc, miał już dość i tej wody i łabędzia i różowego nieba.

Patrzył na swój obraz i skrobał się po głowie, pogrążony w niepewności: czy to jest ładne, czy nie? Właściwie, to mu się niebardzo podobało. Ale może dlatego, że się już zanadto przyzwyczaił. Pewno! Nawet najpiękniejsza rzecz może się opatrzyć.

Postawił obraz „do góry nogami" i przekręcił głowę. Spoglądał teraz bokiem. Rzeczywiście lepiej. Wydaje się, że to jest bardzo ładny widoczek.

No, chwała Bogu, że tak się Antkowi ta pierwsza praca udała. Teraz już wie, że będzie z niego wielki malarz.

Ale co tymczasem zrobić z obrazem? Do domu przecie nie weźmie Zarazby wszyscy: a skąd, a poco, a naco, a co to z tego, a nie lepiejby było...

Antek woli nie słuchać tego wszystkiego. Dlatego postanowił ofiarować swoje dzieło Gwizdońce.

— Na! Macie babciu. Powieście se na ścianie, żeby było u was, jak u prawdziwych państwa!

— Eee, gdzie to u mnie tak będzie... Ale Bóg ci zapłać, Antoś, Bóg ci zapłać.

I zaraz zaczęła wbijać gwóźdź w ścianę, żeby dar Antka powiesić nad komodą, na honorowem miejscu.

A Antek wsadził palec do ust i ze skupieniem ogryzał paznokieć. Myślał przy tem. ile taki obraz wart, jakby to jaki człowiek chciał zapłacić, a nie Pan Bóg...

I postanowił zbadać ceny obrazów na wystawach sklepowych.

as-
O C J A C J E



Kolejka powoduje nieraz zawrót głowy...

Ogromnie nie chce mi się pisać artykułu: tak smutno na dworze, deszcz i jesień. Ale trudno. Siadam do maszyny i staram się utrzymać mój artykuł w dobrym Reming — tonie. Patrzę na brudne klawisze maszyny: klawisze! Przychodzi mi na myśl, że autor piszący na nich głupie rzeczy, to klawi — cymbał! A dlaczego nie fujara? A czy fujara może grać pierwsze skrzypce w życiu? Tak jak, czy zakatarzony analfabeta może czuć pismo nosem?

Wpadam poprostu w trans przeinaczania słów. Wspaniały to sport· siedzi sobie człowiek spokojnie w fotelu i każe przemaszerowywać tysiącom słów, które biorąc się nie tyle za ręce, co za litery, tańczą jakiegoś szaleńczego kankana. Każdemu z nich przypnie się jakąś łatkę, każde klepnie się po plecach i da się soczystego klapsa tam, gdzie trzeba. Jak się wtedy biedaki zmieniają na twarzy! Jak drobne z pięciozłotówki! Rodzony Małecki nie poznałby ich... Coś się doda, coś ujmie, tu przypnie, ówdzie przystębnuje (piękne to wyrażenie poznałem dopiero tydzień temu z kącika mody męskiej „Asa"), tam znów zmarszczy... czoło i nowe słówka idą w świat złudy i fantazji, by za chwilę rozprysnąć się, jak bańki mydlane. Z braku innego towarzystwa słowne te chochliki tworzą miłe otoczenie, ale przyjemniej byłoby jednak opuścić tę naszą polską jesień i wyjechać *kolejką* gdzieś do Włoch naprzykład (tylko nie pod Warszawą). Kolejka! W oczach staje mi okoniem łza i obraz takiej „czyściutkiej" kolejki, jakiej niema nigdzie zagranicą, t .j. kolejki „czystej" z kroplą goryczy Vermouthu, za pomocą której również łatwo można podróżować w krainie złudy.

Włochy i wódka! Cóż to daje w sumie asocjacji? *Flaszkę! Fiasco!* Un fiasco di Chianti! Fiaska życiowe, to niestety najczęstsze flaszki, jakie się widuje! Przyplątuje mi się Fryderyk Schiller, nie ten z Teatru Polskiego, ani ten od wróżenia, tylko ten ceniony swego czasu autor. „Z powodu"? Poprostu „Sprzysiężenie Fiesca w Fiesole". To też musiała być jakaś nielegalna organizacja frontu ludowego... Ale trudno, do silnych świat należy! *Pięść* rządzi światem, t. j. *„Faust"* Goethego, ale też „Götz v. Berlichingen", czyli „Rycerz z żelazną pięścią'. Znany on był z pewnego brzydkiego powiedzenia, podobnie jak generał Cambronne, którego imieniem to słowo się określa. Dziwne kraje ta Francja i Niemcy! U nas niejeden Cam — bronuje niwę ojczystego języka i nikt się tem nie przejmuje. Ale może i my przewekslujemy na inne tory nasz język i będziemy się wyrażać bardziej parlamentarnie. Chociaż nie wierzę w to: — system parlamentarny jest w upadku. Nasuwa mi się przykra myśl: przewekslujemy! Ładna historja — weksel! Jakiś głos wewnętrzny *protestuje* przeciwko temu stanowi rzeczy. Poprostu wypisać na taką a taką sumę Czang-Kai-Czek i rzecz załatwiona. Ale skąd ja wezmę zaraz takiego chińskiego generała?



Pięść gra rolę nietylko w życiu, ale też i w literaturze (Faust).



Trudno jest zostać grandem — łatwiej zrobić „grandę".



Nieszczęśliwy gracz przypomina sobie miasto Słuck!

A możeby zrobić t. zw. hiszpańską *grandę?* Jeżeli w Hiszpanji mogą być grandowie, to u nas mogą być *grandziarze*. To nawetby nas zbliżyło do sympatycznego generała Franco. Sprawę by się załatwiło tak poprostu „gratis i franco"...

Wielki jest Kant, a prorokinią jego jest granda! Miasto Królewiec widziało narodziny Kanta... Kochany, wielki filozofie! Tylu namnożyło się twoich naśladowców, że jesteś niezwykle popularnym, a twój system filozoficzny należy do żelaznego (z powodu krat) repertuaru życiowego. Ja osobiście wolałbym się znaleźć za kratą sakocką, niż za taką właśnie. Ale znacie ten przykry wypadek owego Szkota, Marduch Mac Leggan? Podczas oficjalnej uroczystości znalazł się przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu. Wszyscy przepisowo salutowali, tylko Szkot w żaden sposób nie chciał *oddać* czci poległym tak, że go usunięto z placu.

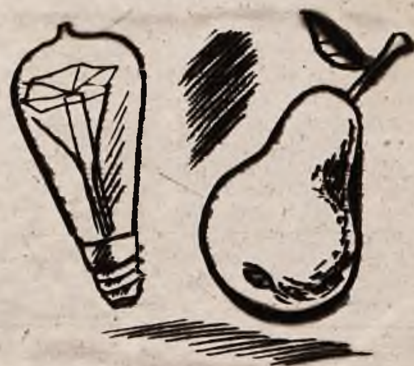


Ballada o szczytach górskich i dziewczynie.

Wkrótce podadzą mi podwieczorek: co też dzisiaj będzie? Kawa, herbata, czy *kakao? K. K. O.*, czy P. K. O.? Coby tam zanieść? — Oczywiście oszczędności. Dotychczas zaoszczędziłem sobie kilka razy pracy, a dwa razy wstydu i zyskałem też parokrotnie na czasie, prolongując weksel. Ale czy przyjmą? Coś jednak trzeba zrobić, przecież nadchodzi tydzień oszczędności na przeciąg... roku. Tak „Times is money" — czas to pieniądz. Money-Coney-Island w Nowym Jorku, honeymoon — miesiąc miodowy... To taki miesiąc w kalendarzu pszczół, kiedy jest największy obrót w interesie, t. j lipiec. Ba! Miód lipcowy, szlacheckie wąsale, karabele, mosterdzieju, pasy słuckie do przyciągania w pasie życia „na surowo à la Suworow". Przyciągamy pasa i mówimy: pas! Coraz mniej klopsów, a coraz więcej klapsów od życia. Trudno! Siła wyższa, *vis maior, force majeur!* Do licha, znów ta forsa, to istna farsa, przecież jest tak nieosiągalna i tak wysoko, jak szczyty górskie, jak jakaś szwajcarska *„Jungfrau"*. Szukam do tego słowa asocjacji: przeszukuję szeregi znajomych, krewnych, przyjaciół i przyjaciółek. Nic i nic! Już takie czasy... Zniknęła przeszłość poetyczna z bajkami, z czerwonemi kapturkami i zaczarowanymi królewiczami. Czerwone kapturki są teraz w Hiszpanji, a zje je wilk bolszewicki, t. zw. „bolszewilk". Postępuje on trop w trop (myśliwy powiedziałby *„drop w drop"*, a cukiernik *„drops w drops"*) za każdem zamieszaniem w Europie.

Ale już robi się ciemno, trzeba zapalić lampę, czyli gruszkę elektryczną. Biorę nóż i poczynam obierać gruszkę, ale jest taka niedobra, że zjeść jej ani... *g-rusz...*.

JGM.



Dwie szlachetne odmiany „gruszek".



W noc
siężycową
morzu i...

★

atyk koło Wenecji
resse Photo —
Berlin.

...w południ
na wysokośc
2.000 m pon
jego poziome



Dolomity.
Fot. Dr. P. Wolf.

„STREFA MILCZENIA"

Z wielkiem wzruszeniem stąpałem po skromnych uliczkach leżącej na bocznym szlaku międzynarodowego turystycznego gościńca, Rawenny.

Maleńkie miasteczko, liczące zaledwie 27.000 mieszkańców w r. 1931, a posiadające własną Akademję Sztuk Pięknych, Pinakotekę, będące siedzibą arcybiskupa, szczycące się posiadaniem bibljoteki z 11.000 niezmiernie cennych rękopisów średniowiecznych. Pozatem teatr Alighieri, licea, Seminarjum duchowne...

Rawenna nosi dumny epitet „La Silenciosa", przypomina w nastroju zamarłe miasto Brugges, tak samo jak i Rawenna odsunięte od morza.

Miasto to zdaje się śnić o dawnej potędze, kiedy to wiodła doń za czasów rzymskiego imperjum „porta aurea" (brama złota), stanowiąca herb miasta, połączonego z Adrjatykiem, odległym o 6 km, kanałem Corsini, a zbudowanym przez Klemensa X. Po upadku cesarstwa rzymskiego i zabójstwie Pawła, syna Romulusa Augusta w roku 476, Odoaker zajął Rawennę, która w czasie walk Gotów z cesarstwem była wypadowym punktem strategicznym.

Po upadku imperjum bizantyjskiego, Rawenna była za Justyniana stolicą i z tego to okresu pozostały zabytki sztuki bizantyjsko-romańskiej tej miary, co mauzoleum Galli Placidi i grób Teodoryka z V wieku po Chrystusie. Bazylika Ursiana, kościoły San Apolinari Nuovo, San Apolinari in Classe, bazylika San Vitale, to najcenniejsze zabytki wczesno-romańskiej architektury, ozdobione cudownymi mozaikami, które łączą świetność bizantyjskiej sztuki z sztuką italską. Pochodzą one z epoki, kiedy Rawenna była stolicą (Urbs metropolis et caput omnium aliarum civitatum Romandiole). Poza świetnością architektonicznych zabytków nad Rawenną unosi się duch Dantego, który w tem mieście dokonał swego żywota 13 września 1321 r.



Dante Alighieri, twórca „Boskiej Komedji".

To szczęśliwe miasto było ostatnią ucieczką (ultimum refugium) wielkiego poety, zamieszanego w krwawe bratobójcze walki Welfów i Gibelinów. Dante Alighieri urodzony 30 maja 1265 r. we Florencji nosił pierwotnie imię Durante, skrócone na Dante. Rodzina jego zaliczała się do najstarszych florenckich rodów.

Do najbliższego otoczenia Dantego należał malarz Giotto i uczony Brunetto Latino. Pierwsze arcydzieło liryki włoskiej „La vita nuova" zrodziło się z miłości Dantego do córki florenckiego obywatela Folco Portinari, Beatryczy. Tą nieziemską miłość przez długie lata uważano za alegorję.

W 1289 r. Dante walczy przeciw aretyńskim Gibelinom, a po śmierci Beatryczy w r. 1291 szuka w filozofji pociechy i zapomnienia.

W r. 1295 poślubia Gempo dei Donati, z którą miał troje dzieci, Piotra, Jakóba i Antoniego. W tym okresie zapisuje się do cechu lekarzy i aptekarzy i bierze żywy udział w życiu politycznem i w walce „białych" z „czarnymi", co było początkiem jego tragedji, gdyż w r. 1302 został razem z 600 „białymi" skazany na śmierć lub wygnanie przez regenta, Karola Valois, brata króla francuskiego Filipa Pięknego, poplecznika papieża.

Skazano go najpierw 27 stycznia na zapłacenie grzywny 5.000 florenów i na dwa lata wygnania z Toskanji, a 10-go marca tegoż roku ukazał się dekret, skazujący go na spalenie, skoroby dostał się w ręce władz miejskich Florencji.

Dante w tym okresie życia błąkał się po całej Italji, a nawet odbył jakoby wędrówkę do Paryża. W latach pomiędzy 1307 i 1310 mieszkał w Lucce. Dnia 31 marca 1311 napisał Dante, szczuty pod koniec życia przez władze list, potępiający najsurowiej swe miasto rodzinne i zachęcający cesarza Henryka VII do zniszczenia źródła wszystkiego zła, Florencji.



„Strefa milczenia" w Rawennie. Fragment z uroczystości na historycznym placu.



Oto miejsca związane z życiem Dantego: od lewej pałac Oriani, grób poety, po prawej balkon pałacu Provincia.



Wspaniały widok roztacza się spod arkad na historyczne budowle Rawenny.

Oblężenie Florencji przez wojska cesarskie nie dało żadnego rezultatu. a przeciwko Dantemu Florencja wystąpiła znowu z groźnym dekretem. Ostatnie lata swego życia przepędził Dante w Rawennie, ukryty u swego przyjaciela Novello da Polenta. Tragizm „Nieboskiej komedji" splótł się z tragizmem życia Dantego. Według znakomitego bjografa Dantego Ricciego „L'ultimo refugio di Dante" Medjolan 1891 pochowano Dantego w kamiennym sarkofagu w kościele San Pietro Maggiore zwanym dziś San Francesco. Panujący książę brał udział w ceremonjale żałobnym i postanowił wznieść wspaniały pomnik.

W roku jednak 1329, kardynał Bertram du Poyet zamierzał spalić zwłoki kacerza, do czego jednak nie dopuścili Franciszkanie, ukrywszy drogie szczątki wielkiego poety i patrjoty. Kiedy papież Leon X w r. 1519 chciał przewieźć zwłoki do Florencji, znaleziono trumnę próżną. Tak broniła Rawenna zwłoki poety i szacunku dla jego ostatniej woli. Kardynał Domenico Corsi w r. 1692 wzniósł poecie pomnik. Zwłoki Dantego spoczywają w kaplicy, wykonanej z polecenia Luigi Gonzagi według planu Morigia.

Florencja walczyła o zwłoki swego najgenjalnieszego obywatela przez całe wieki, lecz uszanowano ostatnią wolę poety, który nie życzył sobie powrotu nawet samych zwłok, do niewdzięcznego miasta.

Kaplica ze zwłokami Dantego ozdobiona płaskorzeźbą Piotra Lombardyjskiego postawiono na miejscu dawnego cmentarza Franciszkanów przed klasztorem San Francesco. Otoczyły ją powstałe w późniejszych epokach miejskie domy, tak iż znalazła się w niepozornym kącie maleńkiego placyku.

Italja faszystowska nie poprzestaje na odsłanianiu zrębów cesarsk Rzymu. Postanowiła ona również g bowcowi największego Włocha nadać odpowiedni charakter. Bez wielkich przygotowań odsłonięto tę dzielnicę miasta, w której znajduje się grób Dantego. Pozostawiono przepiękną kolumnę portyku klasztoru franciszkańskiego, jako tło grobowca i otoczono plac monumentalnymi budowlami, utrzymanemi w charakterze wczesnego renesansu. W miejsce domu, mieszczącego dawniej piwiarnię i kawiarnię, zbudowano bibljotekę im. Mussoliniego, zawierającą archiwum służące do studjów nad Dantem. Na placyku pozostawiono dom, w którym mieszkał wielbiciel Dantego, poeta Gordon Noel Byron. Placykowi nadano odpowiednią architektoniczną oprawę, odsuwając wszelki ruch uliczny od tej okolicy, w której nakazane jest milczenie i bezwzględna cisza.



„Hołd trzech króli" — mozaika w kościele św. Apolinarego w Rawennie z r. 555.



Grobowiec genjalnego poety w Rawennie stał się punktem centralnym „strefy milczenia".



Na prawo: Jednym z najcenniejszych zabytków Rawenny jest tron arcyb. Maksymiana, przechowany w muzeum arcybiskupiem, a ozdobiony rzeźbami z V. wieku.

Całemu temu miejscu nadano dawny historyczny charakter, tworząc w ten sposób przepiękny dokument dzisiejszej epoki, przywracającej dawne piękno i szanującej pamięć swych wielkich poetów i artystów.

Nowe dzieło odrodzonej Italji wzbudziło entuzjazm wśród licznych wielbicieli Dantego, zorganizowanych na całym świecie w towarzystwa jego imienia. Członkowie stowarzyszenia odbywają swe pielgrzymki do grobu Dantego, który stał się dzisiaj narodową świętością Włoch wielbioną i ukochaną przez cały naród.

Zapomniana Rawenna wskutek wielkodusznego czynu Mussoliniego zbliżyła się znowu do wielkiego szlaku turystycznego i stanie się zapewne celem wędrówek turystów z całego świata.

Szczytne hasło biegnące od lat poprzez Italję „Onorate altissimo poeto" (uczcijcie największego poetę), zrealizowało się w faszystowskiej Italji w formie najgodniejszej, odpowiadającej duchowej wartości twórcy arcydzieła, jednego z największych, jakie ludzkość wydała.

W latach napięcia narodowego wzrastał zawsze we Włoszech kult Dantego. Dziś nasilenie italianizmu jest najmocniejsze, a nowe dzieło dokonane w założeniu „strefy milczenia" świadczy najdobitniej o duchowej kulturze współczesnych Włoch.

Marjan Dienstl-Dąbrowa.

Konkurs na najlepszą nowelę Magazynu »AS«

W dniu 1 listopada b. r. został zamknięty Konkurs na najlepszą nowelę Magazynu »AS«. Sądząc z ilości nadesłanych utworów (około 500) wzbudził on ogromne zainteresowanie wśród szerokich kół Czytelników. Począwszy od numeru 46-go zamieszczać będziemy na łamach Magazynu »AS« kolejny spis nowel dopuszczonych i niedopuszczonych do Konkursu.

JURY KONKURSU.

GWIAZDY PO 30stce





Powyżej, od lewej: Lil Dagover — Kay Francis.

Na prawo: Joan Crawford.

Balzac walczył namiętnie o prawo do młodości dla kobiety czterdziestoletniej. Dziś, pod wpływem postępów wiedzy lekarskiej i sztuki kosmetycznej — granica młodości uległa znacznemu przesunięciu. Kobieta czterdziestoletnia przestała uchodzić za starą. Dowcipny komedjopisarz węgierski, Franciszek Molnàr, idąc śladem Balzaca, powiada nawet w jednej ze swych sztuk, że kobieta pięćdziesięcioletnia ma pełne prawo do tego, by uważano ją za młodą! Doświadczenia w tym zakresie udzieliła Molnàrowi najpewniej obserwacja życia zakulisowego w teatrze. Istotnie zdarza się bardzo często, że poważnie zaawansowany wiek nie przeszkadza rasowym aktorkom w kreowaniu ról, wymagających nietylko młodzieńczego wigoru, ale — co trudniejsze! — młodzieńczego wdzięku!

Gwiazdy filmowe krótko świecą na firmamencie. Tylko autentyczny urok młodości wywiera na ekranie pożądane wrażenie. Wiek, który dla aktora teatralnego posuwa się, — że użyjemy obrazowego określenia — w tempie zwolnionem, jest wobec gwiazd filmowych nieubłagany. Boska (tak mówili o niej współcześni) Sarah Bernhardt, będąc staruszką, czarowała świat cały jako młodzieńcze Orlątko w słynnym dramacie Rostanda! Nie mniej boska Asta Nielsen, uznana powszechnie za największą sławę aktorską srebrnego ekranu, przy niespełna czterdziestce z trudem równoważyła siłą swego talentu mankamenta więdnącej urody. Nie pomogła jej wszechświatowa sława i wielki, prawdziwie genjalny talent aktorski: po krótkiej walce zmuszona była wycofać się z filmu. „Kino już mnie nie potrzebuje" — oświadczyła melancholijnie.





W kole: Norma Shearer.

Poniżej: Marion Davies.



Na lewo: Dolores del Rio.

Tem dziwniejszy — wobec tego, cośmy przed chwilą napisali — wydawać się może fakt, że mimo wszystko elita aktorska świata składa się w przeważającej mierze z gwiazd, które przekroczyły feralną trzydziestkę. Trzeba bowiem pamiętać, że trzydziestka, która dla przeciętnej śmiertelniczki przestała już być straszna, zachowała dla gwiazd srebrnego ekranu swoje feralne znaczenie. Gwiazda, która staje u progu czwartego krzyżyka może być dumna ze siebie; fakt, że utrzymała się tak długo na powierzchni, świadczy bowiem chlubnie o jej talencie. Zdarzają się, rzecz prosta, wyjątki; ale jest ich tak nie wiele, że istotnie zdają się potwierdzać tylko regułę. Takim fenomenalnym — bez przesady — wyjątkiem jest niemiecka gwiazda filmowa, Lil Dagover. Gwiazdy współczesnego jej pokolenia zgasły już od dawna naturalną śmiercią wszystkich ciał niebieskich... Lil Dagover wciąż świeci niezrównanym blaskiem swej fizycznej urody i zadziwia świat świetną aparycją.

Niejednego zaskoczy spewnością wiadomość, że do rzędu gwiazd, które przekroczyły trzydziestkę, zaliczają się również Greta Garbo i Marlena Dietrich. Marlena, jak wiadomo, matka dziewięcioletniej córeczki, gra w roku bieżącym aż w czterech filmach. Może rozumie, że sława jej ma się już ku końcowi i pragnie możliwie najintensywniej wykorzystać czas, dzielący ją od jesieni życia? Greta jest od Marleny młodsza. Niedawno zapowiedziała, że zamierza wycofać się z pracy filmowej. Nie chce bowiem, ażeby starość zaskoczyła ją w atelier. Zakupiła już nawet posiadłość w Szwecji, gdzie postanowiła zamieszkać po wyjeździe z Hollywood. Postanowienie to dobrze mówi o charakterze wielkiej szwedzkiej aktorki.

Gwiazdą, która prowadzi beznadziejny pojedynek z Czasem, jest Marion Davies. Przed laty należała do najpopularniejszych aktorek Hollywoodu Posiadała zresztą dużo wdzięku i rzetelny talent parodystyczny. Dziś pozostały z tego żałosne szczątki... Mimo to Marion za nic w świecie nie chce zrezygnować z pracy dla filmu. Oczywiście, niktby się z nią nie liczył, gdyby nie... jej protektor. Jest nim wszechpotężny dyktator prasowy Stanów Zjednoczonych, sam legendarny Hearst. Dzięki niemu właśnie ateliers filmowe stoją wciąż jeszcze przed Marion otworem. Nie trzeba dodawać, że Marion posiada zawsze najlepszych partnerów (grała ostatnio z Gary Cooperem, a obecnie nakręca film przy współudziale Clarka Gable), a prasa Hearsta nie szczędzi jej reklamowych pochlebstw. Ale najbardziej natrętna reklama nie zastąpi młodości, która opuściła Marion na zawsze...

Do rzędu „gwiazd trzydziestoletnich" (gwiazdy trzydziestoletnie, to nie tylko takie, które ukończyły właśnie trzydziestkę, ale wszystkie, które nie dosięgły jeszcze czterdziestki...) należy również Norma Shearer. Rozgłos światowy zdobyła stosunkowo późno, jakkolwiek gra w filmie już od lat kilkunastu. Światową sławę zawdzięcza w dużej mierze małżeństwu z dyrektorem wielkiej wytwórni „Metro", Irvinem Thalbergiem. Thalberg dbał oczywiście o odpowiednie role dla swej małżonki, jak również o należytą propagandę jej filmów. Przed niedawnym czasem Thalberg zmarł Nie wiadomo, czy Norma nie rzuci w związku z tem ekranu. Ostatnio zarzucano jej, że wykorzystuje, podobnie jak Marion Davies, swoje wyjątkowe stanowisko. Porównanie to jest jednakże bardzo krzywdzące Normę, która jakkolwiek już nie pierwszej młodości, posiada znacznie lepsze warunki zewnętrzne i dużo głębszy talent.

Znajdujemy się w przededniu „zmierzchu bogów". Elita Hollywoodu zestarzała się... do rzędu gwiazd trzydziestoletnich zaliczają się również Dolores del Rio, Kay Francis, Joan Crawford, Irena Dunne, Joan Harlow i wiele, wiele innych.

Na horyzoncie Hollywoodu pojawia się nowe pokolenie gwiazd...

Jerzy Boss.

HALLO! HALLO! CZY MÓWI SIĘ DALEJ?

● — Panie Henryku, jak się cieszę, że pan znowu do mnie zadzwonił. Co słychać nowego w wielkim świecie?
● — Jan Kiepura ożenił się z Martą Eggerth... To bardzo miły związek: „chłopiec ze Sosnowca" i „dziewczę z Budapesztu".
● — A czy Kiepura śpiewał co po uroczystości weselnej?
● — Tak, na ogólne życzenie tłumów publiczności zaśpiewał „Czy pani Marta jest grzechu warta"....
● — A słyszałam, że mają teraz wspólnie wystąpić w jakimś nowym filmie?
● — O, tak — to będzie „Cyganerja". Miljon sto tysięcy szylingów honorarjum...
● — Och, ci artyści mają złoto w gardle!
● — Niech pani tak głośno nie mówi,, bo urząd podatkowy gotów jest im to złoto z gardła wyciągnąć. To będzie bardzo ciekawy film ta „Cyganerja".
● — Ale à propos „Cyganerja", co tam słychać w naszem życiu politycznem?
● — Tworzy się nowy obóz i szukają nowego hasła...
● — A jak jest z tem hasłem?
● — Jak z Madrytem.... Lada chwila padnie, tylko niewiadomo z której strony. Chodzi o to, żeby wszyscy mogli znaleźć dla siebie miejsce w nowym obozie... żeby to był taki obóz koncentracji narodowej...
● — Jednem słowem, taki wielki obóz koncentracyjny...
● — Tak... był nawet projekt, aby dookoła całej naszej granicy przeciągnąć druty kolczaste i wtedy ludzie rozmaitych przekonań znaleźliby się automatycznie w jednym i tym samym obozie...
● — To jest myśl..
● — Tak, proszę pani... już czas najwyższy, aby wszyscy ruszyli ławą za buławą...
● — A co słychać w Hiszpanji?
● — Jest bardzo źle z czerwonymi — zostali wzięci pod Madrytem w dwa ognie... i muszą stać w miejscu...
● — Jakto?
● — No tak, straszliwa sytuacja — niech pani sobie wyobrazi: ani w tył, ani naprzód... Bo jak pójdą naprzód, to strzela do nich wojsko generała Franco, a jak idą w tył, to strzelają do nich podoficerowie sowieccy... straszna sytuacja i z przodu i z tyłu strzelają..
● — To doprawdy okropne... ale à propos strasznej sytuacji — słyszałam, że obchodziliśmy dzień oszczędności...
● — A tak... przykład idzie zgóry... rząd postanowił w tym dniu nauczyć prowincję oszczędności. Piękny przykład ofiarności na cele oszczędności dał pan minister komunikacji, wyrzekając się dobrowolnie z budżetu sum na budowę nowych dróg... jeśli inni ministrowie pójdą za jego przykładem, to kraj rzeczywiście nauczy się oszczędzać.
● — A podobno Niemcy też nauczyli się zaciskać pasa...
● — O tak... Goering dał pierwszy przykład... schudł o dziesięć kilo i rzucił hasło, że każdy dobry Niemiec powinien stracić dziesięć kilo...
● — Nie może być — po co?
● — O! to jest podstępna gra... Goebbels będzie chciał się okazać równie dobrym Niemcem, jak Goering i też straci dziesięć kilo — i wtedy nic już z niego nie zostanie...
● — A co tam w Ameryce?
● — Roosevelt zwyciężył przy wyborach. Pobił wszystkie rekordy ilości zebranych głosów... Pozatem odbył się w stanie Indiana konkurs bliźniąt...
● — Ach tak! nieszczęścia często chodzą w parze — jak powiedział pewien szczęśliwy ojciec bliźniąt.
● — Tak, pozatem odbywa się turniej o tytuł „miss Europa"...
● — A kto zdaniem pana — panie Henryku — powinien otrzymać tytuł „miss Europa"?
● — Ja bym pragnął, żeby „miss Europą" zrobili Ligę Narodów...
● — A dlaczegoż to?
● — No, boby może ją nareszcie wywieziono z Europy gdzieś do Ameryki...
● — Ach, dla pana niema nic świętego...
● — E, bo mam okropne kłopoty... widzi pani, wybrali mnie do komitetu wojewódzkiego pomocy zimowej. Kazaliśmy we wszystkich miastach i miasteczkach potworzyć komitety lokalne — i niech pani sobie wyobrazi: wczoraj przyjeżdża do nas wielka delegacja z Woli Państwowej i żąda pieniędzy...
● — No i co — dał im pan?
● — Mówię im — po co wam pieniądze, przecież o ile wiemy, w Woli Państwowej niema ani jednego bezrobotnego, potrzebującego „pomocy zimowej". A wie pani co oni na to?...
● — Słucham...
● — Mówią, że bezrobotnych wprawdzie niema, ale nie mają za co utrzymać komitetu pomocy zimowej!
● *„Hallo — trzy minuty — przerywam rozmowę, gdyż linja jest nam potrzebna dla sekretarza komitetu pomocy zimowej".*
● — Hallo — tu mówi sekretarz komitetu „pomocy zimowej" — czy to ty dziecinko?...
● —Najdroższy... co słychać z moim futrem, to tak spełniasz swoje obowiązki „pomocy zimowej" dla mnie... ach ty niedobry! O całem województwie myślisz, a o mnie zapominasz...
● — *Hallo! Czy mówi się dalej?*
● — E! chyba dziś już *nie*...

Mikrofon.



Mussolini przyjmuje w rocznicę marszu na Rzym defiladę oddziałów armji włoskiej. Fot. New York Times – London.



Marta Eggerth i Jan Kiepura w momencie podpisywania dokumentu ślubnego w Katowicach. Fot. Datka — Katowice.

Poniżej: Girlsy kalifornijskie w kostjumach, przedstawiających różne przyrządy elektryczne, tańczyły podczas uroczystości otwarcia tamy Bolder. Fot. New York Times — London.



Poniżej: Siostry bliźniacze Geneviève i Jeanette Dumas z Chicago uznane za najpiękniejsze przez Kongres bliźniaków w Fort Wayne U. S. A. Fot. Keystone – Berlin.



Kwatery Księcia Pepi.

Wiemy dobrze, jak stroił się, gdy był młody i jak żabot pod oficerskim kołnierzem zapinał. Jak czesał bujne loki wysoko z czoła i lekkim pudrem je pokrywał, gdyż tak chciały tego łazienkowskie kanony, wiemy, że miast pałasza nosił wtedy cieniutką jak rożen szpadę, a nogi mu otulała jedwabna pończocha. Z dokładnością dworaka pochlebcy portret młodego księcia tak nam maluje Bacciarelli, a już zupełnie niedyskretnie Imć Szymon Askenazy opowiadać o tem będzie, jakie to sodomje „pod Blachą" się działy. Nie dziwota, gdy się ma lat 20 i jest ulubieńcem stryja króla i gdy w otchłań uciech osiemnastowiecznych młodego oficerka pogrąży wyrafinowana Madame de Vauban. Służba austrjacka dała mu polor oficerka-wytwornisia, kanony świata eleganckiego przejął od babuni Konstancji, a i Król Dobrodziej baczną uwagę zwracał, by narowy koszarowe nie przedostały się z młodym Pepi na parkiety Łazienek i Myśliwieckiego Pałacu. I wiemy jeszcze inne rzeczy o nim. Jak to w płaszcz szary oficerski odziany nocą samotny z pałacu wykradać się będzie, by bałamucić złotowłose mieszczki ze Solca. I wiemy jeszcze to, czego już Leksykon życia wytwornego Stryja i babci Czartoryskiej nie przewidywał.

Z mulistej rzeki wyciągniono jego bez lokowanej peruki w splamionym krwią generalskim mundurze i złożono razem ze zwłokami jego kirasjerów, tam, w olszniaku nad Elsterą i dopiero trzeba było Aleksandra, żeby w zmarłym oficerze Księcia Józefa rozpoznał.

Tyle już napisano o tej epoce, którą historja w złoty wawrzyn Empiru oblekła i tyle się jeszcze pisać będzie o Lipsku — nowych Termopilach!

Piąte ćwierćwiecze już mija, a barwy ułańskiego munduru ze złotą cyfrą „N" nie wyblakły, są żywe i jaskrawe i wiek przejdzie jeszcze a żyć wiecznie będą. Tak jak wśród ludu Wileńszczyzny zachowała się po dziś dzień najjaskrawiej postać obcego imperatora, który na trójbarwnych sztandarach Wielkiej Armji niósł na Wschód zew nowego życia, tak i w całej Polsce nie zaginie wspomnienie o tym świetlanym książęciu.

Poza Łazienkami jednak i „Blachą", poza dworkiem kuzynki Zofji Czartoryskiej pod Krakowem, Raszynem i Poniatowskystrasse w Lipsku są jeszcze inne miejsca z nim związane, o których naogół mało komu wiadomo.

Niechajże wolno będzie kronikarzowi o nich przypomnieć.

— — — — — — — —

Oddawszy burkę swemu ordynansowi z Jabłonny, z adjutantem swoim majorem Aksamitowskim, cwałował na czele brygady polskiej kawalerji Książę Józef puszczą świerkową. Był czerwiec roku 1812. Główny trzon armji, który stanowiła młoda i stara gwardja z Cesarzem na czele, maszerował przez Poniemunie na Wilno i potem dalej traktami na Głębokie i Dzisnę. Wiódł Książę Eugenjusz korpus włoski, artylerję, a szalony król kawalerji Murat, mieszaną armję jazdy i artylerji, pod Ostrowno, gdzie miały się zetrzeć z generałem Ostermanem. W całej tej armji ogromnej, w której kroczyły wszystkie narody świata rozproszeni byli Polacy, a tylko część szabel pozostawała pod osobistem dowództwem księcia Poniatowskiego. Idąc na prawem skrzydle od południa, mieli się połączyć z głównym pionem Armji, już na terenie historycznego imperjum rosyjskiego.

Pod wyniosłem czakiem ułańskiem księcia zagnieździły się jędze zwątpienia. „Tysiąc mil od głównej bazy operacyjnej, źle zorganizowane etapy, nieznane bezdroża Rosji Europejskiej".

No i ta ostatnia audjencja, w której jak zawsze niepohamowany w gniewie Imperator tupał nogami, w terminologję wojskową wplótł wyzwiska co najordynajniejsze, bił szpicrutą po mapach i groził rozstrzelaniem.

Przez puszczę Ławaryską wiodła droga.

Musiało to wtedy inaczej wyglądać, a dzisiejsza wspaniała szosa zatarła ślady ostatnich kopyt polskiej jazdy, która piaszczystym krokiem wlekła się bez furażu, źle zaopatrzona, wpatrzona jednak w wielki cel, który jej wytknął Korsykanin. Ponoć rosły tam kiedyś wyniosłe brzozy, z których dzisiaj tylko niedobitki zostały, ale zostało wspomnienie i karczma.

W samym środku Puszczy Ławaryskiej, opierając się wysokim dachem, omal że o wiekowieczne świerki, wznosi się ta stara budowla po dziś dzień, zdradzająca architekturą swoją pochodzenie z pierwszych lat XIX stulecia. Na lewo, wielki zajazd dla pojazdów i koni, na prawo zaś szynkwas i pokoje gościnne. Została taką jaką była wtedy. I w niej to ponoć kwaterę popasową miał Książę. Wydaje się to bardzo prawdopodobnem, gdyż położenie karczmy na wolnym trakcie zdaleka od większych osiedli i dworów, nastręczało sobą bardzo wygodny popas, co strudzonemu forsownemi marszami Ułanowi Polski dawało w upalne dnie kilkugodzinny wydech i odpoczynek. Karczma pozatem w owej epoce była nietylko centralą bezmyślnego opilstwa, ale była też i postchalterją, która stanowiła sobą centralę przesyłania korespondencji wojskowej od placówki do placówki. Pokoje nie były wyrazem brudu i niechlujstwa, ale dobrze utrzymane i schludne w przewidywaniu podróżujących planów braci z waszecia... Pozatem bliskie wodozbiory stanowić mogły doskonały popas dla większej masy konnego wojska, które tutaj poić mogło konie a karczmarz będąc z zawodu nietylko doskonałym kiprem, ale i kowalem bardzo się nadawał do doraźnego kucia koni, bądź reperowania wozów.

Jest jeszcze jedna kwatera, kwatera smutna, ze złych dni odwrotu Księcia. Na dzisiejszej ulicy Zamkowej w Wilnie, u zbiegu zaułka Bernardyńskiego, w domu, który był siedzibą Arcybiskupa Metropolity w pierwszych dniach grudnia 1812 roku kwaterę obrał sobie zmęczony i schorowany Książę. Dokuczliwy ból gardła i silna gorączka oraz wyczerpanie po długich marszach przez błota i śniegi, zniewoliły go do zamienienia siodła na wygodne poduszki karety. Karetę książęcą zdjęto z kół i umieszczono na płozach chłopskich sani i w dziwnym tym pojeździe przybywa dowódca Wojsk Polskich do zastraszonego miasta.

Lekarza wojskowego ani się dopytać. Lejbmedyk cesarski upada ze znużenia w Ratuszu przerobionym na szpital, a Księcia dopatruje tylko strzelec konnej gwardji. Aż wreszcie złowiono jakiegoś cywilnego eskulapa i za kark ciągnąc prowadzono do Księcia. Zalecił pijawki, których nigdzie wówczas w Wilnie dostać nie można było i „gorącą aurę" w komnatach oraz dla pokrzepienia wino. Ale gdzież wina można było się wówczas w dniach paniki w tem mieście dopytać! Aż oto znalazło się. Jedna butelczyna jakiegoś tam cienkusza litewskiego u państwa Honestti na Zarzeczu. W pamiętnikach swoich Imć Pan Honestti dokładnie o tem opowie, jak wino niósł Poniatowskiemu. Leżał Książę wygodnie głęboko w fotelu w mundur odziany z wyciągniętemi nogami, które pokrywała ułańska burka. Był blady i zmęczony. Ból gardła (prawdopodobnie angina) nie pozwalał mu mówić wiele i głośno, uśmiechnął się tylko uprzejmie i skinął ręką.

I dnia tegoż samego, mimo choroby i zmęczenia, pojechał dalej.



Józef ks. Poniatowski, według portretu Lampi'ego.



Stara karczma w puszczy Ławaryskiej, gdzie według legendy, kwaterował ks. Józef.



Narożnik domu w Wilnie, w którego murach gościł w grudniu 1812 roku późniejszy bohater z pod Lipska.

A potem wiemy, jak to było. Przy Hallesches Thor Cesarz ściskał i obejmował Księcia, wyświadczał mu przyjacielstwa i uprzejmości. Była to godzina trzecia po południu, tragicznego października, 1813 roku.

Wieczorem dnia tego przysłał mu buławę.

A potem skończył się dla Polski epos Napoleoński.

Feliks Dangel.

1000 kaloryj w naszych piecach

TECHNIKA RACJONALNEGO OPALANIA MIESZKAŃ

W naszym klimacie jedną z najważniejszych instalacyj domu mieszkalnego jest urządzenie służące do ogrzewania. Także i pod tym względem postęp w ostatnich kilkunastu latach jest bardzo znaczny, a jednak, jeżeli się rozważy całe to zagadnienie, dojdziemy do przekonania, że pewien zdrowy konserwatyzm jest tu bardzo wskazany i że przed wprowadzeniem jakichś nowych urządzeń winniśmy się dobrze zastanowić, czy one w danych warunkach mają rację bytu.

Nie ulega wątpliwości, że okres staroświeckiego kominka należy już do bezpowrotnej przeszłości. Dawny kominek opalany drzewem nie ogrzewał jednostajnie całego pokoju a tylko najbliższą jego okolicę. W kominku marnowała się niesłychana ilość ciepła.

Bezwzględnie dominującym jest obecnie sposób ogrzewania mieszkań zapomocą pieców kaflowych, nietylko u nas, ale nawet w Niemczech. Niemcy wcześnie poznali się na znaczeniu właściwego sposobu opalania mieszkań dla całokształtu gospodarki narodowej. Przecież nawet w tak uprzemysłowionym kraju idzie ponad 25 proc. wszystkiego paliwa na potrzeby gospodarstwa domowego. Według ostatnich danych wynosi to ponad 1 i pół miljarda marek. Należy zdać sobie sprawę z tego, że palenie w piecach nie było rzeczą tak mało ważną, aby można było poruczyć ją pierwszemu lepszemu. Nie nadarmo wprowadzono w Niemczech w instytutach naukowych specjalne oddziały, zajmujące się badaniem i ulepszaniem systemu opału domowego. Badania pieców kaflowych przeprowadza się na berlińskiej politechnice, t. j. w Instytucie dla spraw opałowych, a i u nas zaczęto w ostatnich latach żywo interesować się tą sprawą, co jest głównie zasługą inż. Romana Dawidowskiego, prof. technologji paliw w Akademji Górniczej w Krakowie.



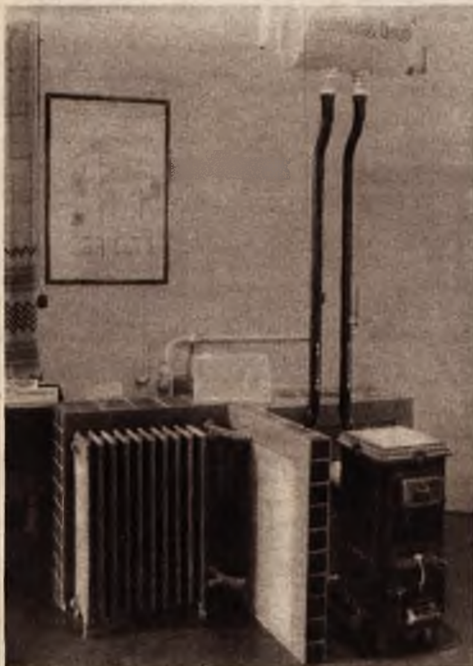
Przyrząd do rozrębywania drzewa.

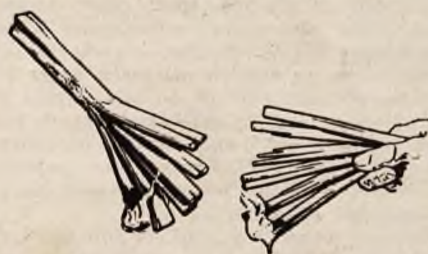
Gabinet z kominkiem, proj. prof. Mieczysława Kotarbińskiego.



Na lewo: Elektryczny piecyk z wystawy w Londynie.

Poniżej: Oto praktyczne kaloryfery, które również dostarczają ciepłej wody do użytku domowego.





Drzewo rozszczepione w postaci wachlarza.

Z przyczyn, które niżej jeszcze wymienimy najważniejszym w naszym klimacie i w naszych stosunkach gospodarczych jest piec opalany paliwem stałem. Jest to albo piec kaflowy albo piec żelazny. Pali się najczęściej węglem, chociaż w wielu częściach kraju, zwłaszcza na wschodzie, stosuje się jeszcze bardzo często opał drzewny. Podamy tu pokrótce zasady racjonalnego palenia w piecach kaflowych na węgiel, kierując się wskazówkami prof. Dawidowskiego, oraz autorów zagranicznych.

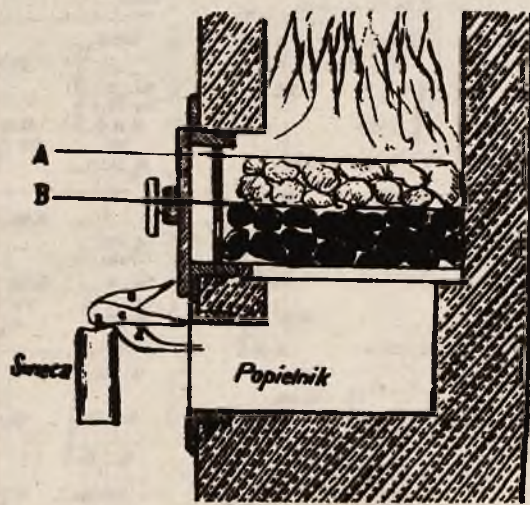
A więc przed zapaleniem w piecu należy jaknajdokładniej wyczyścić ruszt oraz popielnik zarówno z popiołu jak i z żużla. Następnie układamy z drzewa stos w ten sposób, że na dnie znajdują się cienkie i łatwo zapalne drzazgi a na wierzchu drzewo coraz grubsze. Celem łatwiejszego rozpalenia można drzewo rozszczepić palcowato lub ułożyć w „wachlarz". Następnie nakłada się kawałki węgla wielkości kurzego jaja. Palenie musimy w ten sposób poprowadzić, aby najpierw zapaliło się paliwo o niższym punkcie zapłonu, czyli łatwiej palne, w danym wypadku drzewo a od drzewa znów węgiel. Drzewo zaś z łatwością zapali się od papieru lub lepiej jeszcze od łatwopalnych kostek lub smolaków, które zapalamy zapałką. Stos powinien być tak ułożony, aby powietrze mogło się z łatwością przedostać aż do wierzchołka jego. Nie należy dawać odrazu zbyt dużych lub zbyt drobnych kawałków, ani też miału, zachodzi bowiem w tym wypadku obawa wybuchu. Miał możemy narzucać drobnemi ilościami na żar, jednak tak, aby żaru całkiem nie przykryć. Gdy węgiel zacznie się palić w piecu, drzwiczki dolne i przeważnie także drzwiczki zewnętrzne górne, powinny być otwarte tak długo, jak długo węgiel pali się płomieniem. Gdy płomienie zanikają i nabierają niebieskawej barwy i węgiel pali się żarem, wtedy piec należy jaknajszczelniej zamknąć, najlepiej na śrubę i nie ma już obawy, aby wytwarzał się czad czyli tlenek węgla, gdyż dostateczna ilość powietrza dostanie się kominem do pieca.

Kwestja otwarcia górnych zewnętrznych drzwiczek w pierwszym okresie spalania się węgla, to jest gdy węgiel pali się płomieniem, zależna jest od tego czy jest dostateczny „ciąg" w piecu. Gdy „ciąg" jest bardzo silny jak np. w mieszkaniach parterowych i na niższych piętrach wysokich domów, wystarczy otworzyć drzwiczki dolne, bo otwieranie górnych jest wtedy szkodliwe. Natomiast w domkach parterowych lub na wyższych piętrach trzeba przeważnie także i górne drzwiczki uchylić, zwłaszcza jeżeli się nakłada dużo węgla. Rysunek na str. 21 daje nam orjentację co do potrzeby, wzgl. szkodliwości otwarcia zewnętrznych drzwiczek górnych. Jeżeli węgiel sięga do linji A, to znaczy do poziomu górnej krawędzi drzwiczek, to lepiej jest drzwiczki uchylić. Natomiast jeżeli sięga tylko do linji B, to



umożliwia utrzymanie dowolnej temperatury w miarę używania danego pokoju. Koszt wykonania jest niższy, aniżeli mieszkaniowego ogrzewania centralnego, a pod względem eksploatacji niższy nawet od ogólnego ogrzewania centralnego, ale tylko przy objektach o małej ilości mieszkań.

Wad tych nie posiada ogrzewanie centralne zarówno tzw. mieszkaniowe, jak i właściwe ogrzewanie centralne ogólne, służące



Sposób mierzenia siły „ciągu“ zapomocą świecy.

Na lewo: Płaski ścienny piecyk gazowy, który może być zainstalowany również w łazience.

należy je zostawić zamknięte. Dla kontroli czy jest dostateczny „ciąg“ przy zamkniętych drzwiczkach górnych, gdy w piecu pali się, trzymamy zapaloną świeczkę w odległości 5 cm od drzwiczek dolnych tak, ażeby knot świecy był w równej linji z górną krawędzią drzwiczek. Jeśli płomień świecy przechyla się poziomo, równo z górną krawędzią otworu popielnika, to „ciąg“ jest dobry i uchylenie drzwiczek górnych jest dopuszczalne. Gdy zaś płomień świecy przegina się w dół lub gaśnie, to „ciąg“ jest za silny i drzwiczki górne powinny być zamknięte. Gdy płomień świecy tylko słabo się schyla, to „ciąg“ jest za słaby, a wtedy piec należy wymieść lub jest on wadliwy.

A teraz to, co najbardziej interesuje każdą gospodynię: ile trzeba nałożyć węgla do pieca? W Niemczech ustalono jako normę urzędową 1 kg wysokokalorycznego węgla na 25 kafli. Należy więc policzyć ile piec ma kafli, podzielić przez 25 i iloraz da nam ilość węgla potrzebną dla danego pieca. Taka ilość węgla winna wystarczyć na 12 godzin i to nawet przy 20-stopniowym mrozie. Oczywiście nie wszystko zależy od samego pieca, lecz także od stopnia szczelności drzwi i okien i od grubości ścian pokoju. Używanie nadmiernej ilości węgla niszczy piec w krótkim czasie. Gdy normalna ilość węgla nie wystarcza, oznacza to, że piec jest źle postawiony lub źle obliczony. Najczęściej bywa za mały.

Nowoczesne starannie obsługiwane piece umożliwiają wyzyskania 70 do 85% energji cieplnej, którą dajemy piecom w postaci węgla. Zaletami pieca kaflowego jest stosunkowa łatwość wykonania go przez fachowego rzemieślnika, wzgl. łatwość remontu i obsługi. Gra tu dużą rolę również higjeniczne znaczenie jako doskonałego wentylatora mieszkania i łatwość odkurzania, umożliwienie hodowli roślin i kwiatów, które giną zazwyczaj przy centralnem ogrzewaniu, mniejsza temperatura kafli, wskutek czego ruch powietrza jest łagodniejszy i t. d. Równie ważnemi zaletami jest decentralizacja, co



Aparat, służący do badania cieplnej wydajności opału.

do ogrzewania całego domu. Ogrzewanie centralne ogólne jest bezwątpienia racjonalne, zwłaszcza w wielkich nowoczesnych miastach, gdzie coraz częściej buduje się duże domy o znacznej ilości mieszkań, szczególnie zaś gdy niema dostatecznej ilości służby. Zdaniem jednak inż. arch. Popielą nawet w takich domach dążności separacyjne u lokatorów temu się opierają, gdyż obciążenie wydatkami na ogrzewanie centralne nie uwzględnia faktycznie przez danego lokatora zużytego ciepła. W mieszkaniach o centralnem ogrzewaniu zbyt często nie uszczelnia się drzwi i okien, co powoduje zwiększone wydatki eksploatacyjne o jakieś 20 do 30%. W domach o centralnem ogrzewaniu dochodzi jeszcze ta trudność, że uszkodzenie np. kotła unieruchamia ogrzewanie w całym domu.

System jednomieszkaniowego ogrzewania centralnego usuwa wiele wad ogólnego ogrzewania centralnego i daje wiele korzyści, które wyżej wymieniliśmy. Urządzenia te łączą wygodę ogrzewania centralnego z możnością uniezależnienia się od sąsiadów. Niestety przeważnie niema możności pełnego wykorzystania wytwarzanego ciepła i za dużo energji cieplnej traci się w kominie. Wprawdzie wprowadzono ostatnio nowe ulepszone systemy, ale i tak pogląd jakoby centralne ogrzewanie miałoby być idealnem, w znacznej mierze jest fałszywy.

Wspomnimy jeszcze o nowych sposobach ogrzewania mieszkań zapomocą gazu świetlnego i elektryczności. W naszym kraju, gdzie zarówno gaz, jak i elektryczność są bardzo drogie, mają one tylko teoretyczne znaczenie i można je stosować tylko w pewnych wypadkach. Te uszlachetnione, jak powiadają, źródła energji cieplnej, mają wtedy rację bytu, gdy zapotrzebowanie ciepła jest stosunkowo nieznaczne i gdy szczególnie się ceni stałą gotowość aparatu ogrzewającego.

W każdym razie zalety i wady poszczególnych systemów ogrzewania są dzisiaj już tak dobrze znane, że każdy może z łatwością wybrać sobie najbardziej dla niego odpowiedni system.

Uff! Nareszcie dobrnęliśmy do końca tych wielce zawiłych, a jednak pożytecznych w każdem gospodarstwie domowem wiadomości. To też piękne panie wybaczą mi zapewne suchy nieco styl w opisie tak prozaicznego procesu, jakim jest... palenie w piecu i technika ogrzewania mieszkań. Pozornie — jest to może rzecz błaha i nie wymagająca żadnych „teoretycznych“ przygotowań, a jednak w istocie swej niezwykle ważna, nawet... w domowem pożyciu z tak zwaną płcią brzydką. Humor „pana i władcy“ (my mężczyźni lubimy się łudzić!) jakże często zależny jest od „ciepła ogniska domowego“ w czysto fizycznem znaczeniu tego wyrazu. — Jakże często nieumiejętne postępowanie z kapryśnym piecem kaflowym jest przyczyną nieporozumień i zgryźliwych uwag zmęczonego pracą „żywiciela“. Rozumie się, że przy centralnem ogrzewaniu te wszystkie małe kłopoty odpadają, obciążając hipotekę nieznanego zwykle nikomu palacza pieca centralnego w wielkich reprezentacyjnych kamienicach nowoczesnej dzielnicy miasta. Mało jest jednak takich szczęśliwców, którzy mogą pozwolić sobie na luksus mieszkania nowoczesnego — dlatego uwagi moje przydadzą się zapewne niejednej z pań, które przeczytają powyższe praktyczne zalecenia.

Zwłaszcza ustępy — tyczące ekonomicznego zużycia paliwa — umiejętnie zastosowane w życiu praktycznem spędzą niejedną „chmurkę“ z czoła małżonka i pana (po raz drugi wpadam w zarozumiałość!) i osłodzą jego żywot o parę choćby złotych, zaoszczędzonych przy wprowadzeniu w czyn mych kilku skromnych wskazań. Wywołany w ten sposób na usta pięknej pani uśmiech zadowolenia, będzie dla mnie miłą, choć niestety tylko „pomyślaną“ nagrodą. Już dla tego samego warto było ten artykuł napisać.

Inż. A.

NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

Drużynie ligowej K. S. Cracovia poświęcony

MARSZ CRACOVII

Słowa i muzyka:
JULJUSZ LEO

Tempo di marcia.

Hej bra-cia mi-li! Wszy-scy-śmy ży-li na-dzie-ją lep-szych dni.
Od-suń zwąt-pie-nia, rzuć skar-gi brzmienia! Boś ty spor-to-wa brać!

Dziś już na-de-szły, więc smutki pierzchły i w koło pieśń ra-doś-ci brzmi:
Idź śmia-ło w bo-je, choć my-śli twoje przy-sło-ni czasem klęski cień:

Refren.
Hasłem na-szym jest Cra-co-vii chwa-ła i moc dru-ży-ny, co zwy-cię-żać zaw-sze ma!
Wje-dnoś-ci si-ła tkwi po-wo-dzeń ca-ła więc kto dziś z na-mi, ten nam si-ły da!
Stań do wal-ki znów na bo-isk tra-wie w sza-lo-nym wy-wie niech się wzbu-rzy two-ja krew
i zaw-sze męż-nie idź ku zwy-cięskiej sła-wie, bia-ło-czer-wo-ny ko-lor to twój 1. zew! 2. zew!

OPOWIADANIE MR. ELVERSHAMA

H. G. WELLS

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD WANDY de RICHE

Piszę te słowa, nie spodziewając się, aby im dano wiarę, chcę jednak, jeśli to możliwe, ułatwić ucieczkę następnej ofierze. Może jej przynajmniej nieszczęście moje przyniesie jakąś korzyść. Wiem, że moje położenie jest bez wyjścia i pogodziłem się już teraz w pewnej mierze z moim losem.

Nazywam się Edward Jerzy Eden. Urodziłem się w Trentham, w hrabstwie Staffordshire, gdzie ojciec mój był ogrodnikiem. — Utraciłem matkę, mając trzy lata, a ojca mając lat pięć i przyjęty zostałem za syna przez mego wuja Jerzego Edena. Był to człowiek prosty, samouk, cieszący się pewną sławą w Birmingham, jako przedsiębiorczy dziennikarz; nie szczędził starań, aby dać mi staranne wychowanie, budził we mnie ambicję i chęć do wybicia się w świecie, a kiedy umarł, co stało się przed czterema laty, pozostawił mi cały majątek, który po zapłaceniu wszystkich długów wynosił około pięćset funtów. Miałem wtedy lat osiemnaście. Radził mi w testamencie, abym użył pieniędzy na dopełnienie wykształcenia. Miałem zamiar już przedtem zostać lekarzem, dzięki zaś jego pośmiertnej hojności i szczęściu, jakie mi dopisywało przy konkursie, wstąpiłem na medycynę na uniwersytecie w Londynie. — W chwili, kiedy rozpoczyna się moja historja, mieszkałem przy Universitety Street, pod Nrem 11 A, w małym, zimnym pokoiku na poddaszu, bardzo źle umeblowanym, którego okno wychodziło na tył budynków Bursy Szkolnej. Mieszkałem i sypiałem w tym pokoiku, ponieważ zależało mi na oszczędzaniu każdego grosza.

Niosłem właśnie buty moje do naprawy do szewca na Tottenham Court Road, kiedy spotkałem się po raz pierwszy z małym staruszkiem o żółtej twarzy, z którego życiem związało się tak ściśle moje życie. Stał na rogu ulicy i wpatrywał się, niepewny, w numer, widniejący nad bramą mojego domu, kiedy ją otworzyłem. Oczy jego — były tak głęboko osadzone, szare oczy z czerwonemi obwódkami — spoczęły na mojej twarzy i w jednej chwili zachowanie jego zmieniło się. Podszedł do mnie, witając mnie z wyszukaną serdecznością.

— Przybywa pan w samą porę — rzekł. — Zapomniałem numeru pańskiej kamienicy. Jak się pan ma, Mr. Eden?

Byłem nieco zdziwiony jego poufałością, gdyż nigdy nie widziałem na oczy tego człowieka. Krępowało mnie również to, że spotkał mnie niosącego buty pod pachą. Zauważył moje wahanie się.

— Zastanawia się pan zapewne, kim jesteś, he? Zapewniam, że przyjacielem. Widziałem pana wiele razy, chociaż mnie pan nie widział. Czy moglibyśmy pomówić swobodnie?

Nie wiedziałem, co począć. W moim skromnym pokoiku na poddaszu nie mogłem przyjmować gości. — Może pomówimy na ulicy — rzekłem. — Na nieszczęście, mam ważny interes... Zrozumiał gest mój, zanim zdołałem dokończyć zdania.

— Dobrze — rzekł i rozglądnął się. — A w którą stronę pan idzie?

Skręciłem w boczną ulicę.

— Posłuchaj mnie pan! — rzekł głosem urywanym. — Interes mój wymaga pewnych wyjaśnień. Chodź pan ze mną na śniadanie, Mr. Eden. Jestem stary, bardzo stary, a mój słaby głos w turkocie przejeżdżających wozów...

Położył drżącą, pomarszczoną dłoń na mojem ramieniu, jakby mnie chciał przekonać.

Nie byłem jeszcze w tym wieku, aby zaproszenie starca na śniadanie uważać za nietakt. Ale nie było mi ono na rękę. — Wolałbym — zacząłem. — Ale jabym wolał — rzekł, czepiając się mego ramienia — a moje siwe włosy zasługuują na pewne względy. — Zgodziłem się zatem i poszedłem razem z nim.

Wziął mnie do Bławatskiego; musiałem iść bardzo wolno, aby mu dotrzymać kroku; po śniadaniu, jakiego nie jadłem nigdy w życiu, zniknęły moje uprzedzenia, a sam starzec wydał mi się sympatyczniejszy. Jego gładko wygolona twarz była chuda i pokryta zmarszczkami, suche wargi skrywały fałszywe uzębienie, a siwe włosy były cienkie i długie; zdawało mi się, że był niewielkiego wzrostu — chociaż przeważna część ludzi wydaje mi się w porównaniu ze mną wzrostu niewielkiego — a plecy jego były okrągłe i zgięte w kabłąk. Zauważyłem, przyglądając się mu, że i on obserwuje mnie bacznie, wodząc oczyma, płonącemi dziwnem światłem, od moich szerokich barków do ogorzałych rąk i znów do pokrytej piegami twarzy. — A teraz — rzekł, kiedy zapaliliśmy papierosy — muszę powiedzieć, co mnie do pana sprowadza.

— Jestem stary, bardzo stary. — Przerwał na chwilę. — I mam pieniądze, które muszę pozostawić, nie posiadam zaś żadnej rodziny.

Pomyślałem, że chce mnie pozyskać przez zwierzenia i postanowiłem nie wspominać mu o odziedziczonych pięciuset funtach. Rozwodził się nad mojem osamotnieniem i troskami, o jakie go przyprawia chęć dobrego rozporządzenia pieniądzmi. — Brałem pod uwagę to i owo, towarzystwa dobroczynności, instytucje, szkoły i biblioteki i przyszedłem wkońcu do takiego wniosku — wlepił oczy w moją twarz — że znajdę jakiegoś młodzieńca, ambitnego, szlachetnego, biednego, zdrowego na ciele i na umyśle i w krótkiej drodze zrobię go swoim dziedzicem, pozostawię mu wszystko, co mam. — Powtórzył: — Pozostawię mu wszystko, co mam. Znajdzie się nagle bez trosk i trudności i będzie mógł dążyć do niezależności i znaczenia.

Próbowałem okazać się niewzruszonym.

— I pan chce — rzekłem z widoczną hipokryzją — abym mu pomógł znaleźć takiego człowieka?

Uśmiechnął się i spojrzał na mnie ponad swoim papierosem, a ja roześmiałem się również, gdyż skromność moja wydała mi się zbyt naiwną.

— Człowieka tego czeka wspaniała przyszłość! — rzekł. — Zazdroszczę mu, po prostu, że korzystać będzie z bogactw, które nagromadziłem...

— Ale są zapewne jakieś warunki, jakieś ciężary?

— Rzecz prosta. Musi przedewszystkiem przybrać moje nazwisko. I muszę wtajemniczyć się w okoliczności jego życia, zanim go zaadoptuję. Musi być zdrowy. Muszę znać jego przodków, muszę wiedzieć, na co umarli jego rodzice i dziadkowie, muszę wiedzieć, jak się prowadzi...

To mnie trochę ostudziło. — Czy mam rozumieć — spytałem — że ja...?

— Tak jest — rzekł, prawie gwałtownie. — Pan. Pan.

Nie mogłem zdobyć się na odpowiedź. Wyobraźnia moja tańczyła dziko, a mój wrodzony sceptycyzm nie mógł jej opanować. Nie czułem zupełnie wdzięczności... nie wiedziałem, co powiedzieć i jak powiedzieć.

— Ale dlaczego ja? — zapytałem wkońcu.

Słyszał o mnie przypadkowo od profesora Haslara, mówił, jako o wyjątkowo zdrowym i rozsądnym młodzieńcu, a chciał, jeśli to było możliwe, zostawić pieniądze człowiekowi, którego zdrowie i tężyzna były zupełnie pewne.

Takie było moje pierwsze spotkanie się z małym staruszkiem. Sam był bardzo tajemniczy; nie chciał, jak mówił, podawać nawet swojego nazwiska, a kiedy odpowiedziałem na kilka jego pytań, zostawił mnie w przedsionku restauracji Bławatskiego. Zauważyłem, że kiedy przyszło do płacenia, wyjął z kieszeni garść złotych monet. Zaciekawiło mnie jego zainteresowanie się stanem mojego zdrowia. Stosownie do umowy zgłosiłem w jednem z towarzystw chęć ubezpieczenia się na wielką sumę i następnego tygodnia musiałem poddać się badaniu przez lekarzy tegoż. Ale i to go nie zadowoliło. Nalegał, aby mnie dodatkowo zbadał sławny doktór Henderson. Wreszcie wszelkie formalności były dopełnione. Było to, pomnę, w piątek, kiedy powziął ostateczną decyzję. Prosił, abym zeszedł do niego późnym wieczorem — była już prawie dziewiąta — i przerwał przygotowywanie się do pierwszego

egzaminu z chemji. Stał na ulicy pod migocącą lampą gazową i na twarzy jego układały się cienie w sposób groteskowy. Był bardziej pochylony, niż podczas naszego pierwszego widzenia się, a policzki jego zapadły się jeszcze więcej.

Głos drżał mu ze wzruszenia. — Wszystko w porządku, Mr. Eden — rzekł. Wszystko w najzupełniejszym porządku. Tego wieczora, wybranego ze wszystkich, musi pan zjeść ze mną kolację i uświęcić swoje przyjęcie. — Przerwał mu kaszel. — Nie będzie pan długo czekał — rzekł, obcierając chustką usta i chwytając moją dłoń swoją długą, kościstą ręką, jak w szpony. — W istocie, nie będzie pan długo czekał.

Przywołaliśmy dorożkę. Przypominam sobie żywo każdy szczegół tej jazdy, szybki, jednostajny ruch, kontrast gazu, oleju i światła elektrycznego, tłumy ludzi na ulicach, restaurację na Regent Street, gdzieśmy się zatrzymali i wspaniałą kolację, jaką nam tam podano. Zrazu wprawiały mnie w kłopot spojrzenia elegancko ubranych kelnerów, przypatrujących się memu skromnemu odzieniu, ale kiedy szampan zaczął krążyć w mych żyłach, wróciła pewność siebie. Staruszek mówił zrazu o sobie. Już w dorożce powiedział mi, jak się nazywa; był to Egbert Elvesham, wielki filozof, którego nazwisko było mi znane od czasów szkolnych. Wydawało mi się trudnem do uwierzenia, aby ten człowiek, którego inteligencja od tak dawna przewyższała moją, ta wielka abstrakcja, urzeczywistniała się nagle w tej nędznej postaci. Przypuszczam, że każdy młodzieniec, który nagle znajdzie się między sławnymi ludźmi, musi doznawać podobnego rozczarowania. Mówił mi o przyszłości, o kończącem się jego życiu, o domach, rentach, dochodach; nigdybym nie przypuszczał, że filozofowie są tak bogaci. Przyglądał się, jak piję i jem z odcieniem zazdrości. — Ileż ma pan sił żywotnych! — rzekł; a potem, z westchnieniem, z westchnieniem ulgi, jak mi się zdawało. — To nie będzie długo trwało.

— Ah! — rzekłem, a w głowie kręciło mi się od szampana. — Może mam przyszłość przed sobą — przyszłość bardzo przyjemną, dzięki panu. Będę miał zaszczyt nosić pańskie nazwisko. Ale pan ma przeszłość. Taka przeszłość warta jest więcej, niż cała moja przyszłość.

Wstrząsnął głową i uśmiechnął się smutno, słysząc moje pochlebne słowa. — Wątpię, aby pan naprawdę chciał się ze mną zamienić. — Kelner przyniósł likiery. — Zamieniłby się pan z chęcią, jeśli chodzi o nazwisko i stanowisko moje, ale zamieniłby się pan ze mną latami?

— Gdyby pan tego zażądał — rzekłem z wyszukaną grzecznością.

Uśmiechnął się znowu. — Kimmel — dwa razy — rzekł do kelnera i wyjął z kieszeni mały pakiecik. — Teraz kolej na słabostki. Oto coś z mojej nieznanej mądrości. — Otworzył pakiecik drżącemi, żółtemi palcami i pokazał mi miałki, czerwonawy proszek. — Sądzę — rzekł — że domyśla się pan, co to jest. Ale kimmel... z dodatkiem tego proszku... to raj. — Przyglądał mi się swemi szaremi, wielkiemi oczyma z dziwnym wyrazem.

Uderzyło mnie to nieprzyjemnie, że ten wielki nauczyciel lubuje się w likierach. Udałem jednak, że rozumiem i interesuję się jego słabostkami, gdyż alkohol uczynił mnie pobłażliwym.

Podzielił proszek między dwa kieliszki i podnosząc się nagle z niezwykłą godnością, wyciągnął do mnie rękę. Poszedłem za jego przykładem i trąciliśmy się kieliszkami. — Oby pan żył jak najprędzej moim dziedzicem! — rzekł i podniósł kieliszek do ust.

Nie — rzekłem gorączkowo — nie.

Zatrzymał się, z likierem przy ustach, spoglądając na mnie pałającemi oczyma.

— Oby pan długo żył! — rzekłem.

Zawahał się. — Obym żył długo — rzekł z uśmiechem i z wlepionemi w siebie oczyma, wychyliliśmy kieliszki. Wpatrywał się we mnie dziwnym wzrokiem, a kiedy wypiłem likier, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Zrazu zakręciło mi się w głowie; zdawało mi się, jakby coś wewnątrz mojej czaszki poruszało się; zaczęło mi dzwonić w uszach. Nie czułem smaku w ustach ani zapachu płynu. Widziałem tylko, że wzrok jego przenika w głąb mojej duszy. Zamroczenie, szum i zamęt w głowie zdawały się trwać bardzo długo. Na dnie mojej świadomości tańczyły i znikały dziwne, nieokreślone wrażenia z napółzapomnianych czasów. Wkońcu czar prysnął. Opuścił z westchnieniem swój kieliszek.

— I cóż? — zapytał.

— To wspaniałe — rzekłem, chociaż nie czułem smaku napoju.

Kręciło mi się w głowie. Usiadłem. W mózgu moim panował chaos. Potem odzyskałem zmysły. Jego zachowanie zmieniło się nagle w gorączkowe i nerwowe. Wyjął zegarek i skrzywił się. — Jedenasta siedem! A tej nocy muszę... Siedem... dwadzieściapięć. Waterloo! Muszę już jechać. — Zawołał o rachunek i zaczął wdziewać płaszcz. Kilku kelnerów pospieszyło nam z pomocą. Za chwilę życzyłem mu już dobrej nocy w dorożce. Doznawałem wciąż głupiego uczucia, że wszystko widzę dokładnie, ale z wielkiej odległości, jakby — trudno to określić — jakby przez odwróconą lornetkę.

— Ten proszek — rzekł. — Przyłożył rękę do czoła. — Nie powinieniem był dawać go panu. Jutro będzie pan miał szalony ból głowy. Zaczekaj pan. Tutaj — wręczył mi małą, płaską flaszeczkę, jakby z pastylkami orzeźwiającemi. — Proszę to wziąć w wodzie przed spaniem. Tamten proszek, to narkotyk. Nie wcześniej, aż dopiero w łóżku, proszę pamiętać. Zrobi to panu dobrze. To wszystko. Jeszcze uściśnienie dłoni... mój przyszły!

Uścisnąłem jego kościstą rękę. — Dowidzenia! — rzekł, a z wyrazu jego oczu wnioskowałem, że był również pod wpływem oszałamiającego kordjału.

Przypomniał sobie coś, sięgnął do kieszeni na piersiach i wyjął jeszcze jeden pakiet. — Weź pan to — rzekł. — Prawie byłbym zapomniał. Nie otwieraj pan go, aż dopiero jutro, w mojej obecności — ale zabierz pan teraz.

Pakiet był taki ciężki, że o mało go nie upuściłem. — W porządku! — rzekł i uśmiechnął się do mnie z dorożki w chwili, kiedy woźnica zachęcił konia do ruszenia z miejsca. Był to biały pakiet, z czerwonemi pieczęciami. — To chyba pieniądze — rzekłem — jeśli nie platyna lub ołów.

Schowałem go do kieszeni i chociaż kręciło mi się w głowie, ruszyłem do domu przez Regent Street i ciemne uliczki za Portland Road. Przypominam sobie ten powrót bardzo dokładnie. Byłem jeszcze na tyle sobą, że zdawałem sobie sprawę z mego dziwnego stanu i zastanawiałem się, czy proszek ten nie był opiatem — narkotykiem, którego nie znałem. Trudno mi opisać, na czem polegał dziwny stan mego umysłu... było to jakby duchowe rozdwojenie. Szedłem przez Regent Street, a zdawało mi się chwilami, że była to stacja Waterloo; chciałem nawet wstąpić do budynku Politechniki, jakby to był czekający na mnie pociąg. Przetarłem oczy... byłem na Regent Street. Jak mam to wytłumaczyć? Proszę sobie wyobrazić dobrego aktora, który na was spogląda... wykrzywia się i jest już innym człowiekiem. Takiego doznałem wrażenia w chwili, kiedy Waterloo zmieniła się w Regent Street. Kiedy już upewniłem się, że idę przez Regent Street, zaczęły mnie nękać fantastyczne wspomnienia. — W tem miejscu, przed trzydziestu laty — przyszło mi na myśl — pokłóciłem się z moim bratem. — Potem wybuchnąłem śmiechem, budząc zdumienie i sympatję w grupie nocnych przechodniów. Przed trzydziestu laty nie było mnie na świecie i nigdy w życiu nie miałem brata. Proszek miał, zaiste, własność ogłupiania, gdyż żal po utraconym bracie wciąż budził się w mojem sercu. Na Portland Road zacząłem doznawać innych sensacyj. Przypominałem sobie nie istniejące już sklepy i porównywałem wygląd ulicy w dawnych czasach z obecnym. Zamroczenie było zupełnie zrozumiałe po zażyciu proszku, ale niezwykle żywe wspomnienia, które nękały mój umysł, dziwiły mnie niezmiernie; i nie tylko wspomnienia, które się do niego zakradły, ale też wspomnienia, które wypadły mi z pamięci. Zatrzymałem się naprzeciw Stevensa, który ma sklep, poświęcony historji naturalnej i łamałem sobie głowę, co mam do niego za interes. Minął mnie omnibus, a mnie zdawało się, że słyszę turkot pociągu. Byłem, jakby w ciemnej, głębokiej studni. — Rzecz prosta — rzekłem wkońcu. Przyrzekł mi na jutro trzy żaby. Jakżeż mogłem zapomnieć!

Przeszedłem przez Euston Road na Tottenham Court Road, zmieszany i nieco przestraszony i zaledwie zauważyłem, że idę drogą niezwykłą, gdyż zazwyczaj szedłem bocznemi uliczkami. Skręciłem na University Street i spostrzegłem, że niepamiętam numeru mojej kamienicy. Z nadzwyczajnym trudem przypomniałem sobie 11 A, a i wówczas zdawało mi się, jakby mi to powiedziała jakaś obca osoba. Próbowałem uspokoić się, przypominając sobie szczegóły kolacji i w żaden sposób nie mogłem uprzytomnić sobie, jak wyglądał mój gospodarz; widziałem go tylko w mglistych zarysach, jak się widzi odbicie w szybie. Miałem natomiast wrażenie, że siedzę przy stole, zaczerwieniony, z pałającemi oczyma i bardzo rozmowny.

— Muszę wziąć ten drugi proszek — rzekłem. — To jest już nie do zniesienia.

Zacząłem szukać w przedsionku świecy i zapałek, ale nie w tem miejscu, gdzie leżały — i nie mogłem zdać sobie sprawy, na którem piętrze znajduje się moje mieszkanie. — Upiłem się — rzekłem. — To nie ulega wątpliwości — i zatoczyłem się na schodach, jakby dla potwierdzenia moich słów.

Pokój mój wydał mi się na pierwszy rzut oka nieznany. — Co za nieporządek! — rzekłem, rozglądając się. Z pewnym wysiłkiem cofnąłem się myślą wstecz i nagle wszystko wydało mi się znajome. Tam było lustro, tam były notatki z wykładu o albumach, a na podłodze walało się stare ubranie. A jednak nie była to rzeczywistość. Doznawałem głupiego uczucia, z którem musiałem ciągle walczyć, że znajduję się w pociągu, który właśnie stanął i że wyglądam przez okno na jakąś nieznaną mi stację. Chwyciłem się łóżka, aby się uspokoić. — Może to jasnowidzenie — rzekłem. — Muszę napisać do Towarzystwa Psychicznego.

Położyłem pakiet na biurku, usiadłem na łóżku i zacząłem zdejmować buty. Doznałem wrażenia, jakby wszystko, co przeżywam, stanowiło obraz, namalowany na drugim obrazie, którego kontury zaznaczały się przez malowidło. — Niech to djabli wezmą! — zawołałem. — Tracę zmysły albo jestem w dwóch miejscach naraz?

Nie mając sił rozebrać się całkiem, wsypałem proszek do szklanki z wodą i wypiłem ją. Wzburzyła się i przybrała barwę bursztynu. W jednej chwili doznałem ulgi. Ułożyłem głowę na poduszce i zapadłem w głęboki sen.

(ciąg dalszy nastąpi).

KOBIETA Z KWIATEM...
Fot. Dorvyne — Paryż.



5
minut poświęconych modnej fryzurze.







Omawiając technikę codziennego czesania włosów, mamy na myśli takie, które się kręcą z natury, albo też zostały poddane trwałej ondulacji. Do nawpół krótko ściętych włosów stosuje się po umyciu u fryzjera ondulację wodną — końce zakręca się w loki, mocno upina i suszy. Tę czynność spełnia salon fryzjerski. — Tak utrwalone loki można czesać codziennie bez specjalnych umiejętności.



Podczas pierwszych dwóch dni po umyciu głowy jest wskazane zawiązywać ufryzowaną głowę siatką. Rano nie przeczesuje się całych włosów, lecz tylko jeden lok za drugim, poczem zawija się je mocno na cienką, drucianą szpileczką.



Gdy już loki przeczesane zostały dookoła głowy w sposób powyżej podany, czeszemy wałek nad karkiem jak wskazuje rycina. Zaczyna się przesuwać grzebieniem od szczytu głowy i zakręca się mocno na palcu końce po pół wałka, poczem łączy się grzebieniem obydwa wałki przez środek w jedną zgrabnie zarolowaną całość.



Czas tych wszystkich zabiegów nie wyniesie więcej, jak 5 minut. — Fryzura gotowa!

VADEMECUM dobrej gospodyni.

Gdy wieczory jesienne stają się dłuższe i chłodniejsze, domy nasze niejako zaludniają się — rodzina znowu zamyka się chętnie we własnych czterech ścianach mieszkania. Pani domu, która zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo zależą rodzinne uczucia od atrakcyj, jakich dom udzielić może, stara się w tych dniach, by królestwo swoje poddać generalnemu przeglądowi i gruntownym porządkom i dostosować je do zmienionych warunków zimowych. A uczucia te tylko wtenczas będą zbudzone i stale żywe, gdy każdego z pośród rodziny zdoła przyciągnąć domowe ognisko i jego ciepło. I dlatego też dbałość o jak najpiękniejszy wygląd mieszkania w tym zwłaszcza okresie powinna być wypływem nietylko ambicji gospodyni, ale raczej intuicji kobiety — matki, która przeświadczona jest o doniosłem dla dobra rodziny znaczeniu odpowiedniego urządzenia domu i jego pielęgnacji.

Prosta logika postępowania przy gruntownych porządkach domowych wskazuje, iż tok prac należy rozpocząć w pierwszym rzędzie od wymiatania i czyszczenia pieców, powoduje to bowiem zawsze duże zabrudzenia mieszkania. I jeśli nie zrobiło się tego już w lecie, natenczas powinno to być pierwszą czynnością przed dalszem doprowadzeniem mieszkania do porządku. Trzeba przytem naprawić wszystko to, co mogłoby przeszkodzić w należytem funkcjonowaniu pieców czy kaloryferów. Winno się także poddać zbadaniu przez fachowców instalacje gazowe i elektryczne. Jakżeż często wychodzą wówczas na jaw ukryte uszkodzenia, przerwy w gazowych wężach gumowych, wady w kontaktach, wyłącznikach i przewodach elektrycznych. Czy nie zapobiegnie się w ten sposób zdenerwowaniu, kłopotom, ba, niebezpieczeństwom, jeśli konieczne naprawy uskuteczni się w porę? Tak np. należy przedmuchać przewody gazowe, zwłaszcza gdy się zauważy, że siła palenia pozostawia wiele do życzenia. Poleca się również wymianę nadwątlonych żarówek, które dają słabsze i mętniejsze światło. I wreszcie pomyśleć należy także o konieczności ewentualnej naprawy mebli. Powinno się to uskutecznić możliwie bez zwłoki, by przeszkodzić ich całkowitej niezdolności do użytku, a także i ze względów oszczędnościowych. Naprawa bowiem kosztuje przecież o wiele mniej, niż nabycie nowych mebli.

Gdy już gospodyni doprowadziła do porządku szafy i odłożyła na przyszły sezon garderobę letnią, wówczas rozpoczynają się właściwie gorące dni pracy. Najpierw trzeba zmobilizować wszystkie środki, potrzebne do czyszczenia i odnawiania i przygotować niezbędne do pracy narzędzia. Jakiemże dobrodziejstwem okazuje się teraz odkurzacz, który z dobitnym sykiem ślizga się po wyścielonych meblach, kołdrach, narzutach, materacach, półkach na książki i t. p.! Można się też nim posługiwać i do odkurzania sufitu i ścian, z których wprzód zdjęto obrazy, lecz zaznaczyć wypada, że aparat ten nie ściera kurzu, tylko go zdmuchuje. Story, ramy u okien i drzwi oczyszcza się stosownie do ich właściwości i jakości, a więc np. biało lakierowane gotowaną, przecedzoną wodą z otrąb. Szyby u okien czyści się z brudu najlepiej kłębkami papieru gazetowego, poczem myje się je wodą, do której dodaje się trochę spirytusu. Skolei należałoby zająć się meblami. Zwykle wystarcza meble politurowane albo bajcowane przetrzeć silnie ściereczką. Jeśli jednak chcemy wzmocnić ich połysk, wówczas poleca się politurę na meble, względnie bajc na meble, który miękką szmatką dobrze wcieramy. Meble biało lakierowane obmywa się wpierw miękką szmatką wełnianą, zwilżoną w obojętnym roztworze mydlanym lub w gotowanej, ostudzonej wodzie z otrąb, wreszcie w roztworze kredy z dodatkiem łyżeczki kawowej boraksu, a następnie szybko na sucho froteruje. Do czyszczenia mebli, powlekanych różnokolorowym lakiem, używa się letniej wody ze salmiakiem.

Również i srebro czeka oczyszczenia i odnowienia. Najprostszym sposobem jest polerowanie suknem, przyczem musi zostać utrzymany kierunek cieniutkich kresek, które przy dokładnem przyglądnięciu się można na srebrze zauważyć. Do silniejszego oczyszczenia używa się specjalnego mydła do srebra, rozpuszczonego w spirytusie lub w salmiaku z dodatkiem

Dokończenie na str. 31-ej.

Panie faworyzują dobrych danserów



Nie uczmy się nowych pas — ale każdy taniec musi mieć swój styl — można się obejść i bez Carioki!

Musimy przyjąć, że każdy z nas mężczyzn — ambicjonuje się na punkcie sportów, że niejednego ta żyłka sportowa zaprowadziła w szeregi zawodników, którzy mogą się poszczycić doskonałymi wynikami na kortach, basenach i boiskach.

Czy aby tylko t. zw. żyłka sportowa? Otóż właśnie nie! Mężczyźni — trzeba to niestety przyjąć jako pewnik — są niemniej od kobiet czuli na punkcie błahych sukcesów życiowych. Często bardzo dominującem u nich pragnieniem jest uzyskanie możności zaimponowania nawet w rzeczach drobnych płci pięknej. Wiadomo zaś, jak jej urocze przedstawicielki reagują na objawy siły i sprawności fizycznej u mężczyzn. Czy więc znajdzie się gentleman, któryby n. p. podczas polowania umyślnie spudłował? Napewno nie! Każdy z uczestników z reguły chce zostać królem strzelców. A w tenisie? Czy nie podziwiamy gry naszych asów białego sportu? Czy nie zazdrościmy im ich wspaniałych umiejętności? Napewno tak, bo każdy, który raz wziął rakietę do ręki, dąży do jaknajlepszych wyników na korcie.

I tak jest w każdej dziedzinie sportu. Z jednym wyjątkiem: w dziedzinie tańca salonowego. Tu jakoś trudno dopatrzeć się ambicji u mężczyzn. O nielicznej garstce uczestników turniejów tanecznych nie może być mowy. Mamy na myśli niezliczone rzesze mężczyzn, odwiedzających tłumnie różne dancingi, a w karnawale bale i maskarady. Rzadko wśród nich znajdziemy takiego, któryby posiadł umiejętność tańczenia w całem tego słowa znaczeniu. Niemal z reguły cały ten tłum „wyczynia" na parkiecie najkomiczniejsze sztuki, które nic — ale to absolutnie nic z tańcem nie mają wspólnego.



Gdzie należy szukać przyczyn tego zjawiska? Wielu skarży się na brak miejsca do tańca i pod tym względem mają oni rację. Minjaturowe parkiety dancingów, na których tłoczy się dosłownie tłum par tańczących, nie sprzyjają rozwinięciu całej skali umiejętności dobrego dansera (np. w szybkim walcu, lub tangu). Mimo to

brak miejsca zupełnie nie usprawiedliwia tego, kto walca tańczy w takt 2/4, albo w tangu stosuje pas foxtrotta!

I tu się zaczyna prawdziwa gehenna pań, skazanych na mękę tańczenia z fuszerami. Nic więc dziwnego, że każda z nich tęskni za dobrym danserem, bo tylko on może dać jej maksimum zadowolenia z tańca. Trzeba się z jednem zgodzić: taniec jest sztuką i nie można go kultywować bez racjonalnej nauki no i... treningu. A więc uczmy się i trenujmy, pamiętając o tem, że nie każdy taniec nadaje się do tańczenia przez masy. Nikt nie będzie tak naiwny, aby wymagać od przeciętnego dansera zdobycia techniki Carioki. Zostawmy ją zawodowcom!

Brummel.







Na lewo:

U góry: Tak powinno trzymać się danserkę. Prawa ręka pod lewą łopatką pani, łokieć swobodnie podniesiony. Lewa ręka w łokciu lekko zgięta, a dłoń podniesiona na wysokość ust.

W środku: Elastyczny krok slowfoxa należy do wyższych umiejętności tanecznych i pozwala na opuszczenie lewej ręki dansera.

U dołu: Tak wyglądają sylwetki pary, tańczącej Cariokę — lekko od siebie odchylone. Charakterystycznem jest tu swobodne prowadzenie danserki przez jej partnera.

Powyżej: Wysoko podniesione ramiona, jak i tańczenie na palcach należy już do przeszłości...

Na lewo: Nawet przy posuwistem pas tanga nie wolno stóp odrywać od posadzki.

NOWOCZESNA AMAZONKA

Włożyliśmy do archiwum długie czarne suknie, cylinderek i damskie siodło. Na starych ilustracjach oglądamy dostojne damy, ustrojone w te rekwizyty starzyzny z dużą dozą zdziwienia, jak można było jeździć na koniu w czemś podobnem. Mało jeździć — jak można było skakać przez przeszkody na damskiem siodle i w długiej krępującej „amazonce". Przecież to było tak niewygodne dla damy a przedewszystkiem tak męczące dla konia!

Ale dawne przepisy mody kobiecej i wstydliwości miały siłę obowiązującą. Kobiety w „tych" czasach „nie miały" nóg i nie wolno było ich pokazać, nawet jeśli były obute w piękne lakierowane buty do konnej jazdy.

Życie ma jednak swoje prawa. I nie wiadomo dziś dokładnie co było powodem, że czarna amazonka i cylinderek i damskie siodło poszło do lamusa. Czy było to spowodowane rzeczywistą niewygodą korzystania z tych rekwizytów, czy też poprostu „kryzysowe" warunki dzisiejsze zmusiły nowoczesne amazonki do przywdziania innych strojów?

Mamy jednak wrażenie, że i jedno i drugie. Bo w wielu wypadkach piękna pani chciała jeździć na koniu a tu nie było siodła damskiego. Trzeba było jechać na męskiem, a co zatem idzie, trzeba było przywdziać spodnie i normalne buty do konnej jazdy. Cylinderek, czy melonik, także okazały się mniej praktyczne od miękkiej czapki jeździeckiej. I tak doszło do zupełnej rewolucji w dziedzinie kobiecej mody jeździeckiej.

Nie mówimy oczywiście o konkursach hippicznych. Tam naturalnie obowiązuje czarny strój do jazdy konnej, choć nawet dziś nie składa się on z amazonki, tylko z czarnych spodni i czarnego żakietu oraz melonika wzgl. specjalnej czapki jeździeckiej. Ale na treningach, a zwłaszcza na spacerach, głos decydujący ma przedewszystkiem wygoda.

Zagranicą lansowane są obecnie bardzo usilnie długie spodnie, t. zw. „Jodhpur", ściešnione od kolan do kostki, które zastępują także cholewy dawnych butów do konnej jazdy. Spodnie takie niewątpliwie wzmacniają przyleg łydki do boków konia, ale mamy wrażenie, że noga, obuta w but z cholewą, jest odporniejsza na otarcia itp wypadki, które zawsze przecież mogą mieć miejsce.

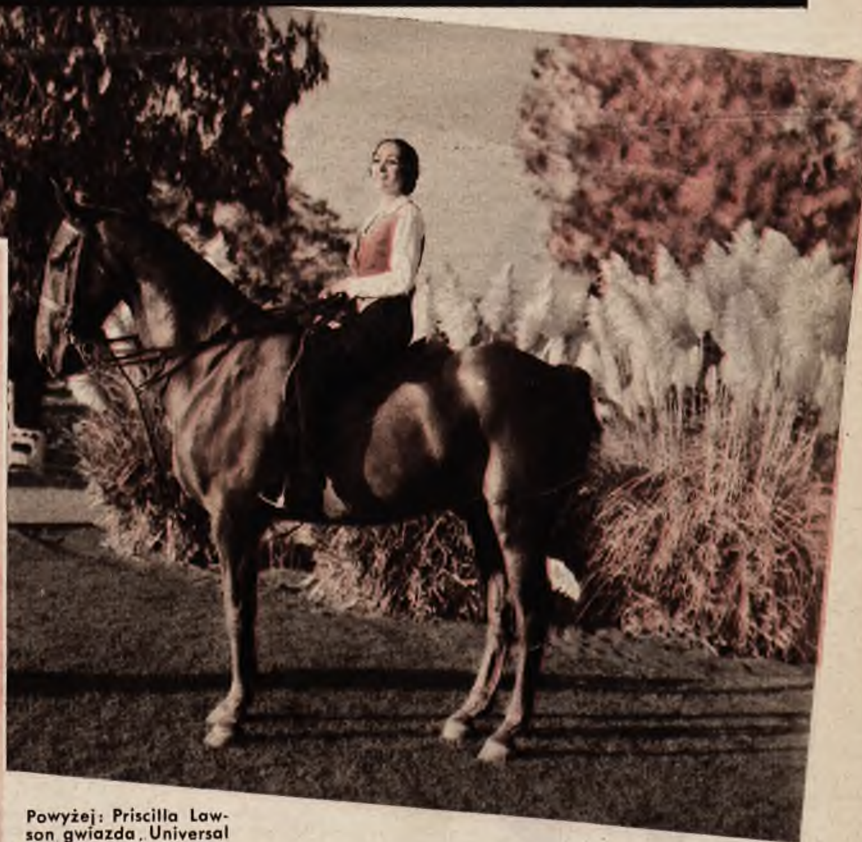
Do spodni — jasna bluzka, jeśli jest ciepło. Trafiają się wypadki, że poprostu wdziewa się koszulkę gimnastyczną w letnie upalne dni. Jeśli jest chłodniej — wówczas pomysłowość pań ma otwarte granice. Trzeba tylko zważać, aby kurtka była możliwie dokładnie zapinana, by w galopie i na przeszkodach nie rozwijała się, jak sztandar proroka na okopach. Jeśli spodnie są czarne, wówczas trzeba dobrać odpowiedni kolor kurtki. Często robi się całość z jednego materjału i w jednym kolorze.

Koniecznem jest jednak pewne „umężczyźnienie" całego stroju. W galopie, pod wiatr, łatwo o przeziębienie, to też bluzka musi być zapinana pod szyją i związana kolorową krawatką. Na głowie kapelusik lub czapka. Ale i tu trzeba pamiętać o szybkości konia i o tem, aby na przeszkodzie „pocisnąć" konia łydkami, a nie kapelusz rękoma do głowy, bo wtedy można albo zgubić kapelusik, albo też... konia! Obydwa wypadki są niemiłe. Najlepszą wydaje się nam czarna aksamitna czapka jeździecka, którą można tanim kosztem sprawić na długi okres czasu. (To także nie jest pozbawione dużego znaczenia).

Do całości stroju pięknej amazonki należy także uprząż i siodło. Trzeba przyznać, że amazonki okazują dziwną skłonność do używania tego rodzaju wymysłów co wytok,



Na lewo: Zagranicą piękne panie używają chętnie do biegów myśliwskich spodni „Jodhpur", wzorowanych na stroju Hindusów, mistrzów w hokeju na trawie...



Powyżej: Priscilla Lawson gwiazda „Universal Pictures" dosiada konia w spodniach „Jodhpur" z czarnego sztruksu.



Na lewo: Z takimi samymi spodniami doskonale harmonizuje biały wełniany żakiet (June Lang z wytwórni „Fox Film").



munsztuk i inne środki, wynalezione ku udręczeniu konia. • A przecież niema nic chyba ładniejszego, jak zwykłe, „angielskie" siodło i sportowa uzda. Amazonki nie wiedzą, że munsztuk niezawsze wpływa korzystnie na zmniejszenie szybkości „twardego w pysku" konia, że wytok wcale nie ułatwia kierowania koniem. O wiele lepszem jest prawidłowe działanie łydką, które dobrze ujeżdżony koń zawsze prędzej zrozumie, niż szarpanie uzdą munsztukową, opatrzoną dla zwiększenia męki zwierzęcia, wytokiem.

Ale bo też panie nie powinny jeździć na „ostrych" koniach, które są za silne dla słabych kobiecych dłoni. Są także złośliwi, którzy twierdzą, że kobiety wogóle nie powinny uprawiać jazdy konnej...

Nie o tem jednak dzisiaj chcieliśmy mówić. Mówimy tylko o stroju kobiety do konnej jazdy. Reasumujemy nasze uwagi: strój ten powinien być przedewszystkiem wygodny. Kwestja estetyki jest równie doniosła, ale już na drugiem miejscu. Bo cóż nam przyjdzie z najpiękniejszego stroju, skoro po pierwszym kilometrze galopu okaże się, że jest bardzo niewygodny?

W. D.



Powyżej: Wybór wygodnego siodła decyduje nieraz o powodzeniu w biegach myśliwskich.

Na prawo: W słonecznej Kalifornji nawet strój plażowy służy za dress do konnej jazdy...



Na lewo: Breeches'y, zapinane z boku na guziki i wełniana koszula sportowa są strojem, chętnie używanym przez amerykańskie amazonki.



Na prawo: Dress do konnej jazdy, wzorowany na męskich fasonach.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka - obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA WĘGIERSKA. 25 dkg kwaśnej kapusty pokrajać drobno, dodać 5 dkg wytopionej słoninki wraz ze skwarkami oraz 3—4 świeże pomidory lub dwie łyżki marmolady pomidorowej, poczem dusić wszystko razem około godziny. Osobno gotuje się rosół z kości cielęcych; rosołem tym rozprowadza się kapustę w potrzebnej ilości, zagotowuje i podaje, wkroiwszy przedtem do zupy dwie parówki. — Osobno podaje się cienkie płatki chleba, przypiekane na rumiano.

PASZTECIKI Z CIELĘCINY. 50 dkg mięsa cielęcego udusić na maśle wraz z garstką pieczarek i zieloną pietruszką. Miękką pieczeń wraz z pieczarkami przemiela się dwa razy, wkłada napowrót do sosu, dodaje łyżeczkę soku cytrynowego, sardelkę roztartą z łyżeczką masła, szczyptę soli i pieprzu i poddusza chwilę na ogniu, przy pilnem mięszaniu. Osobno przygotowuje się ciasto francuskie lub zwykłe kruche, wałkuje na grubość grzbietu noża i wykrawuje foremką okrągłe placuszki, które się dzieli na dwie połowy. W jednej połowie robi się mniejszą foremką okrągłe otwory, tworząc z nich w ten sposób wianuszki. Na środek całych placuszków nakłada się łyżeczkę przygotowanego pasztetu, przykrywa wianuszkiem, na otwór dodaje się jeszcze pasztetu i kładzie skośnie, wybitem żółtkiem paszteciki, piecze się w gorącym piecyku i podaje dobrze ciepłe. Można też upiec ciasto osobno nakładać pasztet do już upieczonych foremek w podany wyżej sposób. Przed podaniem należy je silnie podgrzać.

OMLETY A LA PAYSAN. Usmażyć na rumiano trzy duże ziemniaki, pokrajane w płatki. Do smażenia użyć 6 dkg słoniny, pokrajanej w drobną kosteczkę. Do usmażonych ziemniaczków dodać kilka łyżek miękko ugotowanego grochu lub drobnej fasolki, posmażyć wszystko chwilkę, potem rozłożyć warstwą na całej patelni i zalać rozkłuconemi trzema jajami. Patelnię wstawia się do piecyka, a gdy się jaja zetną, zwija się omlet w rulon i podaje z ostrą sałatą włoską lub jarzynową. O ile nie ma się do dyspozycji piecyka, wysmażać można omlety na małej patelce, wtedy jednak należy je wysmażać z obydwu stron.

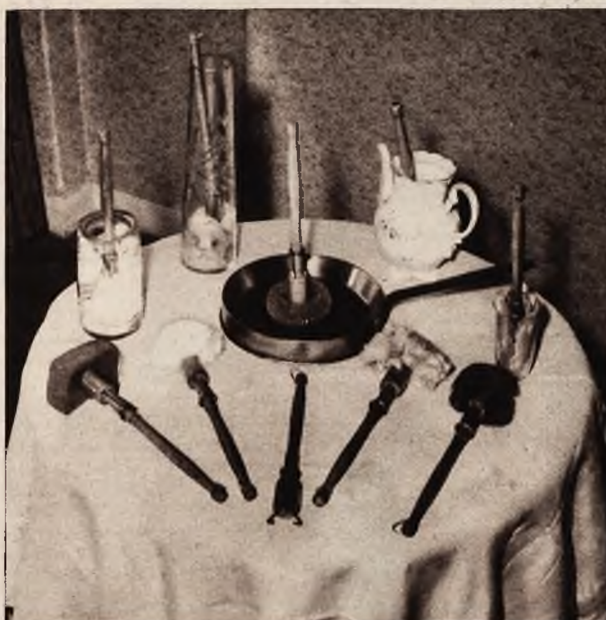
KROKIETKI RYŻOWE. Filiżankę ryżu (może być tańszy t. zw. łamany) wymyć i ugotować w mleku na gęstą masę, której ma być trzy filiżanki. Przy gotowaniu pilnie mieszać, bo ryż się łatwo przypala. Gotowy ryż soli się, dodaje jajko i dokładnie miesza. O ile masa wypadła za rzadka, dodaje się parę łyżek tartej bułki. Ryż wykłada się na deskę, posypaną bułką, formuje z niego placek grubości palca, a po zastygnięciu wycina się kółkiem lub szklanką okrągłe zraziki, panieruje w jajku i bułeczce, oraz smaży szybko na bardzo gorącym tłuszczu z obu stron na złoty kolor. Krokietkami okłada się duszoną marchewkę z groszkiem jako danie jarskie lub garniruje niemi półmisek z pieczenią cielęcą, przekładając gałązkami zielonej pietruszki.

DYNIA DUSZONA DO MIĘSA. Małą twardą, oczyszczoną z łupy i pestek dynię, pokrajać jak kapustę, posolić, skropić octem i odstawić na parę godzin, poczem się ja wyciska i daje na usmażoną w maśle cebulkę i dusi wolno pod pokrywą, podlewając rosołem lub wodą. Wkońcu dorabia się smak solą, cukrem, octem lub sokiem cytrynowym, dodaje łyżkę śmietany z łyżeczką mąki, zagotowuje i podaje do kotletów lub pieczeni wieprzowej albo wołowej.

SOS HOLENDERSKI do jarzyn gotowanych w słonej wodzie lub ryb na niemiesko. Łyżkę świeżego masła roztopić, dodać łyżeczkę mąki, 3 żółtka i szklankę rosołu, mały kieliszek wina, kostkę cukru, otartą na cytrynie, 1 łyżeczkę soku cytrynowego. Wszystko ubija się na parze, aż zgęstnieje, tj. aż się zaczyna podnosić, poczem wylewa się sos do sosjerki, a tę stawia się do ciepłej wody, gdzie pozostaje aż do podania.

TORT ORZECHOWY Z KREMEM. 4 całe jaja ubić spiralką z 20 dkg mączki cukrowej, dodać 7 dkg mielonych orzechów i 12 dkg mąki, wlać do formy natartej masłem i upiec. Wystudzony tort rozciąć na 2 lub 3 części i przełożyć kremem lub masą orzechową. **Przepis na krem:** 1/8 l. śmietanki rozbić z łyżeczką mąki ziemniaczanej i 1 żółtkiem, dodać kawałek wanilji i ubić na parze na gęsty krem. Osobno utrzeć 10 dkg masła deserowego z 10 dkg mączki cukrowej, dodać łyżeczkę mielonej dobrej kawy. wkońcu wystudzony krem po łyżeczce, pilnie mieszając. **Przepis na masę orzechową:** 10 dkg mielonych orzechów wsypać na 1/8 gotującej śmietanki, dodać 10 dkg cukru z wanilją, zagotować, odstawić i domieszać 4 dkg masła deserowego, dodając go po kawałeczku. Przełożony kremem tort polewa się czekoladą i ozdabia ćwiartkami orzechów w formie gwiazdy. **Polewa czekoladowa:** Ugotować gęsty syrop z 8 dkg cukru i paru łyżek wody. 8 dkg czekolady rozmiękczyć w cieple i zmieszać z dolewanym potrosze syropem. Wkońcu dodać łyżeczkę masła i szybko polać, aby pozostał gładki. Sc. Ko.

Nowości gospodarstwa domowego.



Zachowanie pedantycznej czystości w domowem gospodarstwie winno stać się naczelną zasadą każdej młodej gosposi. Uwidoczniony na fotografji uniwersalny przyrząd do czyszczenia naczyń ułatwi jej bardzo zadanie. Wynalazek polega na zastosowaniu rączki wspólnej dla wielu rodzai materjałów, używanych najczęściej do czyszczenia, a więc gumowej gąbki, drucianej szczotki, pakułów, waty itd. Specjalny uchwyt w postaci metalowych kleszczy na końcu drewnianej rączki umożliwia umocowanie danego materjału i wygodne czyszczenie nawet głębokich, wąskich flakonów na kwiaty.

Presse-Photo.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 46 — Listopad — Dni 30
Niedziela **8** Sewera, 23 Cheszwan	Zupa węgierska. Paszteciki z cielęciny. Polędwica wołowa po angielsku z jarzynkami i pommes frittes. Tort orzechowy z kremem kawowym. <u>Kolacja:</u> Kaczka w auszpiku z sałatą majonezową.
Poniedziałek **9** Teodora, 24 Cheszwan	Barszcz czysty z kaszką krakowską. Kalafior z wody z masłem i bułeczką. Pieczeń barania w pomidorowym sosie z ryżem. Kompot z jabłek przecierany. <u>Kolacja:</u> Rizotto z zielonym groszkiem.
Wtorek **10** Andrzeja, 25 Cheszwan	Zupa grochowa z grzankami. Dołki ze szpinaku z sosem parmezanowym. Zając w śmietanie z makaronem i buraczkami. Gruszki pod kremem waniljowym. <u>Kolacja:</u> Parówki z chrzanem.
Środa **11** Marcina bisk., 26 Cheszwan	Zupa z włoskiej kapusty z grzankami. Brukselka z masłem. Kaczka pieczona z czerwoną kapustą. Ciastka drożdżowe z serem. <u>Kolacja:</u> Pasztet zajęczy na zimno.
Czwartek **12** Marcina ap., 27 Cheszwan	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa zapiekana w beszamelu z ziemniaczkami. Pieczeń nerkowa z krokietkami z ryżu. Kompot mieszany. <u>Kolacja:</u> Omlety a la paysan.
Piątek **13** Stanisława Kostki, 28 Cheszwan	Barszcz zabielany z ziemniaczkami. Omlety ze szpinakiem. Białe ryby smażone jak kotlety z ziemniaczkami. Naleśniki z serem. <u>Kolacja:</u> Śledź marynowany - ziemniaczki w mundurkach.
Sobota **14** Józefata, Seraf., 29 Cheszwan	Kapuśniaczek z kiełbaskami. Kotlety jarzynowe. Zrazy siekane z kaszą tatarczaną. Strudel z jabłkami. <u>Kolacja:</u> Galaretka z nóżek wieprzowych z sałatą.

HOCKI-KLOCKI

KOMPROMITACJA.



— Przyrzekł pan nie wystawiać tego obrazu! Czy muszą wszyscy wiedzieć, że pozowołam panu do aktu?

wracając się i nie posługując się zwierciadłami?

DZIELENIE LITER.

W dziesięcioliterowem słowie kolejne litery zastępują cyfry od 1 do 0. W poniżej podanem dzieleniu litery te wstawiono zamiast cyfr. Z jakiego słowa wzięto litery?

```
ZECRSZ:STIR=REI
REI
SASR
  NSL
  TCNS
  TILZ
   SANZ
   SANZ
```

DRABINA W STUDNI.



Pani Kozłowska potrzebuje czterometrowej drabiny do zbierania jabłek z jabłoni. W pionowej studni stoi drabina, jak to widać na rysunku; odstęp między szczeblami wynosi 30 cm. Czy drabina ta wystarczy p. Kozłowskiej?

Z KRÓLESTWA MODY.



Rok 1936 — smokingi dla pań.
Rok 1937 — toalety wieczorowe dla panów.

Rozwiązania z N-ru 44-go.

POCIĄG I SAMOLOT.

Pociąg do przejechania 300 km z szybkością 30 km na godzinę potrzebuje 10 godzin. Ponieważ cały ten czas samolot leci z szybkością 300 km na godzinę, więc przebywa ogółem 3000 kilometrów.

33. Z PODRÓŻY PO ANGLJI.

Cena banana wynosi $1^1/_4$ pensa — 960 bananów kosztuje 5 funtów, a za 480 sześciopensówek kupiec sprzedaje 2304 banany (16 tuzinów tuzinów).

OSIEM LOKOMOTYW.

Zepsuta lokomotywa oznaczona jest nr. 5. Pozostałe lokomotywy należy przesuwać w porządku: 7, 6, 3, 7, 6, 1, 2, 4, 1, 3, 8, 1, 3, 2, 4, 3, 2, w sumie siedemnaście ruchów, którymi można ustawić wozy we wskazanym porządku. Prócz powyższego istnieją jeszcze dwa nieco inne rozwiązania.

STRZELANIE Z ŁUKU.

Pierwszy strzelec trafił 12 dwa razy, 14 dwa razy, 48 — raz. Drugi trafił 12 — raz, 32 — raz, 14 cztery razy. Trzeci 14 dwa razy, 18 — cztery. Czwarty 32 dwa razy, 12 — trzy, a piąty strzelec trafił 32, 14, 18 po jednym razie i 12 trzy razy.

PIENIĄDZE W BANKU.

Mąż pani Zofji może podjąć najwyżej 2550 zł., gdyż tyle tylko ma tam złożone. Bowiem mąż jej przyjaciółki miał 2547 zł., a on ma o 3 (o-trzy-ma) więcej.

WYCIECZKA ŁODZIAMI.

Panu Chabrowi towarzyszyły przed obiadem pani Mak i panna Bławatek, po obiedzie pani Fiołek i panna Mak, a po podwieczorku pani Bławatek i panna Fiołek.

ZMIANA PIENIĘDZY.

Kupiec miał w kasie dwie dwudziestozłotówki i 7,85 zł drobnych. Wobec tego mógł panu Nowakowi wydać 47,85 zł, lecz nie mógł wydać 17,85 zł.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

NA POKŁADZIE.

Przy barjerze na pokładzie statku oceanicznego stoi pasażer i patrzy na zachód. Przy barjerze na drugiej stronie okrętu stoi jego przyjaciel i patrzy na wschód. Nagle pierwszy odzywa się: „Masz źle zawiązany krawat". Na to drugi odpowiada: „A ty, jak widzę, jesteś nieogolony". W jaki sposób obaj mogli poczynić te spostrzeżenia, nie od-

---

Dokończenie ze str. 8-ej.

syjskiej Agreniewa. Nadszedł rok 1934, a z nim wybory na „Wenus Paryża", o których już pan wie. Przerzuciłam się do music-hallu. Nie zadawalając się tańcem i dla oszczędzenia zdrowia zmieniłam „genre", ucząc się śpiewu. Z klasycznej tancerki przedzierżgnęłam się w tańczącą cygankę i tu piosenka oddawała mi wielkie usługi, wykazując, że obrałam dobrą drogę.

— Czasy owe, to jeden ciąg walki o spokojne życie, mimo rosnącego powodzenia. Ze wzruszeniem myślę o pomocy, jakiej doznałam od Francuzów. Pewien stary impresarjo, mający wielkie stosunki w świecie artystycznym, zwrócił się do mnie, ofiarując mi swe usługi. Francuzom imponuje młoda kobieta, pragnąca iść uczciwie przez życie. Teatr szalenie lubię i dopiero za kulisami czuję się w swoim żywiole, mimo niejednej przykrości, na jaką się jest tam narażoną. Mam raczej naturę tragiczki, ale nie tracę nadziei, że uda mi się zagrać również większą rolę w komedji lub na ekranie. Jakie są moje plany? Pragnęłabym wystąpić w Polsce i może uda mi się zorganizować wraz z moją siostrą Marją odpowiednie tournée. Byłabym wtedy w Krakowie, Warszawie i innych miastach.

Oto Polka Evanowa, która zawojowała Paryż i którą uznano za godną konkurowania pod względem kształtów z boginią piękności. A trzeba pamiętać, że w jury zasiadali tacy znawcy, jak słynny malarz Van Dongen, kierowniczka szkoły tanecznej Irena Popard, dziennikarka i literatka Maryse Choisy, rzeźbiarz Lejeune i wielu innych.

Podając pannie Irence rękę na pożegnanie, spoglądam na tę drobną, w skromną suknię ubraną postać, która dzięki harmonji swych kształtów zdołała wywołać entuzjazm u znawców piękna.

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

Dokończenie ze str. 26-ej.

sidolu. Pająki i lampy czyści się na sucho, myje się zaś lustra oraz różne przedmioty z porcelany i szkła. Na sam koniec prac pozostawiamy podłogi.

Albo więc czyści się je gotowanym roztworem mydlanym z częstą zmianą wody przy każdej obrobionej partji podłogi lub też środkami chemicznemi, najlepiej mieszaniną benzyny, spirytusu i salmiaku. Można także użyć do tego celu szczotki drucianej, czy wreszcie aparatów elektrycznych. Dopiero po zupełnem wyschnięciu możemy je zapuścić i po pewnym czasie wyszczotkować. Linoleum, zapuszczone olejem lnianym, znosi tylko obojętne, a więc nietłuste mydło. Po obmyciu można je natłuścić lekko ogrzanym olejem lnianym i natrzeć w sposób polecony przez każdego sprzedawcę linoleum. Plamy tłuste dają się usunąć terpentyną.

Teraz można już powiesić oczyszczone obrazy i wyprane firanki, ułożyć, wytrzepane jeszcze u progu letnich miesięcy dywany, meble należycie przysunąć i każdą rzecz postawić na swojem miejscu.

Krzątanina skończona. Wyborny dech czystości otula członków rodziny, a gospodyni — matka z uszczęśliwionem uczuciem spoziera na zbliżającą się zimę, albowiem dodając nowego blasku i świeżości mieszkaniu, przygotowała najlepszy i bogaty w plon grunt pod swój najważniejszy cel: pielęgnowanie zmysłu rodzinnego i rodzinnego przywiązania. **St-wicz.**

To warto poznać..

NA SCENIE.

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie gra obecnie świetną sztukę Wilhelma Wernera **„Ludzie na krze"**. Sztuka ta — jak to już kilkakrotnie na tem miejscu notowaliśmy — porusza dziesiątki najaktualniejszych problemów,



Krystyna Szyszko jest uroczą, młodziutką, a wybitnie utalentowaną artystką, występującą obecnie w teatrze grodzieńskim. Znaczny sukces artystyczny odniosła w roli Katarzyny Seidl w „Maturze".

wzajemnie się zazębiających. Jest odzwierciedleniem współczesności, porusza bolączki i ropiejące rany dnia dzisiejszego. Dobrze przygotował ją reżysersko Biegański, a zespół aktorski gra sztukę poprawnie, w niektórych rolach doskonale. Zwłaszcza na specjalne wyróżnienie zasługują Burnatowicz (Zdeniek), Karbowski (profesor), Suchecka (Paulina), Macherski (reżyser), ponadto główne role grają Bielska, Romowicz, Woźnik, Wroński i Żukowski.

Teatr Miejski w Łodzi gra naprzemian **„Mazepę"** Słowackiego w inscenizacji Osterwy i **„Moralność Pani Dulskiej"** Zapolskiej. W „Mazepie" oczywiście na czoło wykonawców wysuwa się sam Osterwa, znakomity odtwórca roli tytulowej. Wojewodę z dużą siłą wyrazu gra Białoszczyński, starannie króla Tatarkiewicz, stylową Amelją jest Łęcka, a dobrym Zbigniewem Hierowski. W **„Moralności Pani Dulskiej"** znakomitemi odtwórczyniami ról Hesi, Hanki i Tadrachowej są Dywińska, Jaworska i Dąbrowska. Dają koncert gry aktorskiej. Bardzo dobrze grają Tymowska i Połomska, a rolę Dulskiej odtwarza Chojnacka.

W Teatrze Miejskim w Grodnie odbyła się uroczystość 25-lecia pracy aktorskiej i 15-lecia działalności dyrektorskiej Józefa **Grodnickiego**, dyr. Teatru Miejskiego w Grodnie i Teatru objazdowego woj. białostockiego. Dyr. Grodnicki, prowadząc od wielu lat prowincjonalne placówki teatralne, przyczynił się znacznie do krzewienia kultury teatralnej na kresach wschodnich i zasługi jego w tej dziedzinie są duże. Podkreślili to mowcy na uroczystości jubileuszowej. Na przedstawienie jubileuszowe wybrano komedję Grzymały-Siedleckiego **„Spadkobierca"**, w której jubilat odtworzył rolę tytułową.

W Teatrze Letnim w Warszawie przygotował Warnecki nową komedje angielskiej spółki p. t. „Złoty wieniec". Anegdota kome-



Świetnemi odtwórczyniami ról Hesi i Hanki w „Moralności pani Dulskiej" są Z. Dywińska i E. Jaworska, występujące obecnie w Teatrze Miejskim w Łodzi.

dji grzeszy ubóstwem inwencji, djalogi są mizerne, postacie szablonowe, ale zato jedna rola starej pomywaczki pozwala **Stanisławie Wysockiej** stworzyć nową świetną kreację. Grzymała-Siedlecki tak pisze o grze Wysockiej:

„Ma Wysocka ten przedziwny dar, że po kilku pierwszych jej odezwaniach się na scenie staje przed nami pełnia gatunku odtwarzanej postaci. Bez cienia zgrywania się, najszlachetniejszemi sposobami artystycznemi oddaje każde uczucie, a nieme w roli ani włókienka psychicznego, któregoby nie dostrzegła, nie ujawniła, nie rozprowadziła w charakter. I każda postać, którą gra wychodzi z jej gry jakaś głębsza, duchowo poważniejsza, bardziej zastanawiająca...".

W Bydgoszczy Teatr Miejski wystawił operetkę Kahlmana **„Djabelski jeździec"**, która otrzymała doskonałą obsadę aktorską,



Juljusz Osterwa, znakomity odtwórca Mazepy, bawi na gościnnych występach w Łodzi, gdzie stylową jego partnerką w roli Amelji jest Łęcka.

a i muzycznie przygotowana została dobrze. Operetka ta daje pole do popisu Xeni Grey, Hamirskiej, Rychterowi, Hermanowej, Dytrychowi, Koczanowiczowi, Nowakowskiemu, Domosławskiemu, Iwańskiemu i innym. — Ewolucje taneczne wykonują brawurowo Sobolłówna i Wojnar.

(b).



NIEDZIELA — dnia 8 listopada.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja Nabożeństwa z Torunia.
12.03 Poranek muzyczny z Łodzi.
11.30 Muzyka rozrywkowa (płyty).
15.30 Audycja dla wsi.
16.30 Fragment słuchowiskowy: „Kajus Cezar Kaligula".
17.10 Koncert rozrywkowy.
18.00: „Tańce polskie" (Transmisja do Ameryki).
19.00 „Ubiegły rok pracy P. A. L." — szkic literacki.
19.20 Melodje operetkowe.
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30 Recital fortepianowy Pawła Lewieckiego.
22.00 Koncert muzyki bułgarskiej.
22.45 Muzyka taneczna.

PONIEDZIAŁEK — dnia 9 listopada.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 „Uwertury" (płyty).
15.15 Koncert południowy Małej Orkiestry P. R.
15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.30 Walce artystyczne.
17.00 „Ideał władcy w dawnej Polsce" — odczyt.
17.15 Recital skrzypcowy Edwarda Zethureckyego.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
20.00 Koncert kameralny.
21.00 „Lwowska karta Wojciecha Bogusławskiego" — wieczór literacki.
21.30 Albert Sandler ze swoim zespołem.
22.00 „Śluby Jana Kazimierza" — oratorium.
23.00 Muzyka taneczna.

WTOREK — dnia 10 listopada.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert w wykonaniu Sekstetu Niny Mańskiej.
15.15 Ryszard Strauss dyryguje własnemi utworami (płyty).
16.30 Koncert Orkiestry Warszawskiej Straży Ogniowej.
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich".
17.15 Koncert.
17.50 „Wesoły wojak" — monolog Kornela Makuszyńskiego.
19.00 „Dyskutujmy: „Czy mamy nadmiar inteligencji pracującej".
19.20 „I co pan na to" — lekka audycja muzyczna.
20.15 Koncert.
21.00 „Na kwaterze" — muzyka baletowa.
22.00 „O hymnach narodowych" — audycja Marii Johanny Wielopolskiej.
22.45 Polska muzyka taneczna.

ŚRODA — dnia 11 listopada.

6.30 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie.
10.30 Transmisja rewji wojskowej z Placu na Rozdrożu.
12.03 Poranek muzyczny.
13.30 „Syzyfowe prace" — pogadanka.
14.00 Muzyka polska.
15.45 „Polska jest wasza" — pogadanka.
16.05 „Mikrofony na ulicach Warszawy w dn. 11 XI 1918 r.".
16.40 Koncert.
18.00 Słuchowisko historyczne.
19.30 Pieśni śląskie.
20.00 Polskie miniatury instrumentalne (płyty).
21.00 „Opowieść o Chopinie" — III-ci wieczór.
21.45 Koncert Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radja.
22.25 Marsze polskie w wykonaniu orkiestry wojskowej.
23.00 Muzyka taneczna (płyty).

CZWARTEK — dnia 12 listopada.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek szkolny dla młodzieży szkół powszechnych.
12.03 Muzyka (płyty).
15.15 Muzyka lekka.
16.20 „Chwilka pytań" — dla dzieci.
16.35 Arje i pieśni w wyk. Zofii Fabry i Wiktora Bregy.
17.00 „Zatrucie produktami spożywczymi" — odczyt.
17.15 Symfonia kameralna na 11 instrumentów.
17.50 „Książka i wiedza": „O polskim słowniku biograficznym".
19.00 Premiera słuchowiska pt. „Jedenasty listopada".
19.30 Koncert rozrywkowy z Wilna.
20.30 „W najdzikszej dolinie tatrzańskiej" — pogadanka.
21.00 Sylwetki kompozytorów polskich — Zygmunt Stojowski.
22.05 Muzyka taneczna.

PIĄTEK — dnia 13 listopada.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Muzyka.
15.15 Muzyka lekka.
16.30 Rewia instrumentów w wykonaniu zespołu „Kaskada".
17.00 „Złoto Sybiru" — felieton.
17.15 Koncert solistów.
19.00 „A przysięgała..." Fragment z powieści Elizy Orzeszkowej.
19.20 „Z pieśnią po kraju".
19.45 Fragment operowy.
20.00 Koncert symfoniczny.
22.30 „Od pomnika do pomnika" — wesoły skecz Wiecha.
22.45 Muzyka taneczna.

SOBOTA — dnia 14 listopada.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Lekki koncert południowy.
15.15 Muzyka rozrywkowa.
16.15 Operetki francuskie.
17.00 „Portrety i szkice muzyczne" — audycja muzyczna.
19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy.
19.30 Koncert rozrywkowy.
21.00 Recital wiolonczelowy Dezyderiusza Danczewskiego.
21.30 Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
22.00 „Waterloo czyli miłość synowska" — groteska.
22.30 Muzyka taneczna (płyty).

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.